

Lucy Gordon

Ocalone dziedzictwo

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Meryl Winters lubiła prowadzić auto, a jazda po rodzinnym Nowym Jorku zawsze miała w sobie coś upajającego.

Gdy wybiła godzina, w której banki otwierają swoje podwoje, czerwony sportowy samochód skręcił z Broadwayu w Wall Street. Zapiszczały hamulce. Nie zważając na zakaz parkowania, dziewczyna wyskoczyła z auta i rzuciwszy portierowi kluczyki, zamasyście przestąpiła próg Lomax Grierson Bank. W tej samej chwili przy samochodzie zatrzymał się radiowóz.

— Nie może pan założyć blokady - przeraził się portier.

— To auto pani Winters.

Policjant z drogowki skrzywił się i wycofał bez słowa. Meryl zdecydowanym krokiem przemierzała marmurowe hole. Wiedziała, że obecni tu ludzie bezceremonialnie się w nią wpatrują. Tak było, odkąd skończyła pięć naście lat. Wtedy straciła ojca i została spadkobierczynią ogromnej fortuny. Była prawdziwą księżniczką, nie tylko z majątku, ale i z urody: wysoka, szczupła, o wiotkiej figurze i wręcz bajecznych nogach patrzyła na świat wielkimi, zielonymi oczami, pięknie współgrającymi barwą z długimi, kruczoczarnymi

włosami. Nic dziwnego, że panna Winters przyciągała ludzkie spojrzenia. Szczególnie panów. Co jej nie przeszkadzało. Męski podziw dodawał życiu blasku.

Ale teraz jej myśli zaprzętały inne sprawy. Szła prosto do gabinetu prezesa. Sekretarka pracowała tu od niedawna, bo nie znała jeszcze Meryl, lecz od razu wyczuła, że ma do czynienia nie z byle kim.

— Pan Riyers jest bardzo zajęty — zastrzegła szybko — Czy była pani umówiona?

— Umówiona — zdumiała się Meryl. — Pan Riyers jest moim ojcem chrzestnym i zarządcą mojego majątku. A teraz mam mu coś do powiedzenia.

— Rozumiem, ale właśnie... — Sekretarka urwała, bo panna Winters gwałtownie i z niezwykłym rozmachem otworzyła drzwi do gabinetu prezesa.

Lawrence Riyers, postawny mężczyzna o masywnej szczęce i włosach posrebrzonych siwizną, z miłym uśmiechem podniósł się z miejsca.

— Meryl, co za przyjemna niespodzianka.

— Czyżby? Naprawdę się spodziewałaś, że tak zostawię twój list? Larry, powtarzam ci po raz setny, nie wtrącaj się w moje prywatne sprawy!

— A ja po raz setny ci uświadamiam, że wydawanie lekką rączką poważnych sum nie jest wyłącznie twoją prywatną sprawą.

— Mam dwadzieścia cztery lata i...

— I póki nie skończysz dwudziestu siedmiu, nie pozwolę ci marnotrawić pieniędzy i szastać nimi na prawo i lewo. Twój ojciec dobrze wiedział, co robił, gdy pisał testament.

— Bo był pod twoim wpływem — zareplikowała ostro.

— I całe szczęście. Znał się na wydobyciu ropy, ale o niczym innym nie miał bladego pojęcia, łącznie ze swoją córeczką. Już jako piętnastolatka umiałaś postawić na swoim.

I to się nie zmieniło. Nic nie zmadrzałaś. Jak tylko usłyszałem, że zamierzasz roztrwonić dziesięć milionów na taką miernotę jak Benedict Steen, człowieka bez dorobku i nazwiska, od razu zapaliła mi się czerwona lampka. Nie ma mowy, bym do tego dopuścił.

— Bennie nie jest miernotą...

— Już ja wiem, co sądzić o człowieku, którego życiowym powołaniem jest szycie kiecek — zripostował gwałtownie Larry Riyers.

— On wcale nie szyje kiecek — zaproponowała z urazą. Tworzy modę na najwyższym światowym poziomie. I musi mieć wsparcie, by wspiąć się na szczyty. To nie będą wyrzucone pieniądze, a bardzo sensowna inwestycja, uwierz mi.

— Dziesięć milionów na sklep z ciuchami? — Larry był bezlitosny. — I jeszcze twierdzisz, że to dobra inwestycja? Niesłychane!

— Nie chodzi o sklep z ciuchami. Bennie potrzebuje dobrego startu, odpowiedniego miejsca...

— Chyba ma jakąś pracownię?

— Tak, ale to nie to. Zapyziały kąt w bocznej uliczce... Żeby zaistnieć, musi się pokazać w eleganckim otoczeniu. Centralny Manhattan, tego mu trzeba. Tam powinien zorganizować pokaz kolekcji, wtedy przyciągnie klientów nie tylko ze Stanów.

— Dziesięć milionów dolarów — powoli powtórzył Larry. Nie chciał zrażać chrześniaczki, wołał dojść z nią do porozumienia.

— Musi pokazać swoją kolekcję w Paryżu, Londynie, Mediolanie, Nowym Jorku — ciągnęła z zapałem Meryl — Od tego trzeba zacząć. Zatrudnić ludzi. Zareklamować się w prestiżowych magazynach. To wszystko kosztuje.

— Dziesięć milionów dolarów.

— Jak coś robię, to porządnie.

— Kiedy spodziewasz się odzyskać te pieniądze?

— No wiesz! To nie ma znaczenia! — rzuciła impulsywnie, nie kryjąc gniewu.

— Nie ma znaczenia... A kto się zarzekał, że to wspaniała inwestycja?

— No dobrze, więc uznaj, że to tylko zabawa. I co w tym złego? Przecież stać mnie!

— Na razie. Bo bardzo szybko roztrwonisz wszystko, gdy zaczną tobą manipulować tacy jak ten Steen, a ja się nie przeciwstawię. Doskonale rozumiem, co cię w nim tak ujęło, że całkiem straciłaś rozum. Jest atrakcyjny, przystojny, rzuca się w oczy... o ile ktoś gustuje w takich typkach...

Meryl aż się zagotowała.

— Larry, tyle razy kładłam ci to do głowy, a ty wciąż swoje!

Nie, nie zakochałam się w nim! Zresztą Bennie jest żonaty.

— W trakcie rozwodu. Przeraza mnie myśl, że któregoś ranka dowiem się z gazety, iż właśnie odbyły się wasze uroczyste zaręczyny.

— No cóż, gdybym za niego wyszła... na co zresztą nie mam ochoty... byłby z tego jeden pożytek: przestałbyś sprawować pieczę nad moim majątkiem — powiedziała dobitnie.

— Nie ma znaczenia, za kogo wyjdę, wystarczy sam fakt. Wtedy twoja kuratela automatycznie wygasa.

— Masz już na oku narzeczonego?

— Nie, ale to może być ktokolwiek. Larry, mówię po ważnie, chcę mieć dostęp do moich pieniędzy. Jeśli odmówisz, przysięgam, że wyjdę za pierwszego faceta, jaki się nawinie. Czy wyraziłam się dostatecznie jasno?

— Jak najbardziej. A teraz, moja droga, pozwól, że ja powiem, co o tym wszystkim myślę. Nie dostaniesz dziesięciu milionów na ten szalony plan. To moje ostatnie słowo.

Meryl przez długą chwilę intensywnie wpatrywała się w niego, jednak Larry pozostał nieugięty.

— To jeszcze nie koniec! — Jak burza wybiegła z gabinetu i trzasnęła drzwiami.

Gdyby Larry ujrzał swoją podopieczną, jak godzinę później na wpół naga posłusznie obraca się przed Benedictem, który upinał na niej nową kreację i mówił do niej „kochanie”, utwierdziłby się w swoich najgorszych obawach. I bardzo by się pomylił.

Meryl i Benedict poznali się, gdy mieli po czternaście lat. Ona chodziła do ekskluzywnej prywatnej szkoły, a on był synem ogrodnika. Stała się jego dobrym duchem. Wybroniła go przed bandą agresywnych kolegów i otoczyła opieką. Wiedział, że w razie czego może na nią liczyć. Rewanżował się, ułatwiając jej zakazane wyprawy z Internatu do pobliskiego miasteczka.

— Rozmowa z Larrym to jak gadanie do ściany — westchnęła. — Powtarzam mu jak komu dobremu, że nie jestem w tobie zakochana, ale on niczego nie przyjmuje.

— Z pewnością ktoś mu powiedział, że żadna kobieta nie jest w stanie oprzeć się mojemu czarowi — Delikatnie odwrócił Meryl — Podnieś rękę, kochanie, muszę tu coś podpiąć.

Z uśmiechem patrzyła, jak ze skupioną miną poprawia zmarszczkę. Powstaje kolejna przepiękna kreacja, prawdziwe чудо. Meryl powoli się uspokajała.

Straciła matkę, gdy miała sześć lat. Ojciec, zręczny przedsiębiorca, który dorobił się fantastycznej fortuny, uwielbiał córkę i rozpieszczał ją bez umiaru. Jednego nie mógł jej tylko ofiarować — czasu. Ceniła te rzadkie chwile, gdy miała go przy sobie. Po jego śmierci stała się nieprawdopodobnie bogata, lecz czuła się bardzo samotna.

Zdawała sobie sprawę, że efektowny wygląd i majątek otwierają przed nią wszystkie drzwi. Na szczęście natura okazała się hojna i wyposażyła ją w przymioty, które są udziałem jedynie nielicznych, czyli otwarte serce i poczucie humoru, tonujące jej krewki temperament. Potrafiła śmiać się z samej siebie, co dodawało jej wdzięku i zjednywało ludzi. Trudno było pojąć, skąd wzięły się w niej te cechy. Mama była melancholiczką, zaś ojciec poza interesami właściwie nic nie widział wokół siebie. Uważano, że Meryl już taka się urodziła i nikt się nie domyślał, że w ten sposób broni się przed światem. Bo niby czego miałyby się lękać piękna i bogata Meryl Winters?

Prosto z banku przyjechała do pracowni Benedicta i z gniewem zrelacjonowała spotkanie z Larrym. Gdy zacytowała jego stwierdzenie o „szyciu kiecek”, Benedict eksplodował. Wtedy Meryl oprzytomniała i wybuchnęła śmiechem, już rozluźniona.

— Jak ten twój uwodzicielski czar działa ostatnio na Amandę? — zapytała, drocząc się z przyjacielem.

— Nie wspominaj mi jej imienia — prychnął Benedict.

— To małżeństwo okazało się największym błędem mojego życia. Szczęśliwie zdecydowałem się wreszcie odejść.

— Zaraz, zaraz, kto kogo zostawił? Przecież to ona wyrzuciła cię na zbity pysk. Sąsiedzi nie mogą spać po nocach, bo tak się do niej dobijasz i błagasz, by cię wpuściła.

— To kłamstwa!

— Już zapomniałeś, jak dzwoniłeś ode mnie z przygotowaną przemową, by zgodziła się spróbować od początku, a ona rzuciła słuchawkę, gdy tylko usłyszała twój głos?

— Nie denerwuj mnie, gdy mam w ręku szpilki. Wiesz, przypadki chodzą po ludziach.

— Jeśli zależy ci na tych dziesięciu milionach...

— Już o nich zapomniałem, bo sprawa upadła — rzekł z irytacją. — Póki nie skończysz dwudziestu siedmiu lat, nie ma o czym marzyć. Zresztą to też nie jest przesądzone, bo Larry może postawić weto.

— Niby jak? Skończę dwadzieścia siedem lat i automatycznie przejmę prawo do dysponowania majątkiem, chyba że wcześniej wyjdę za mąż. I tak zrobię, bo nie wytrzymam tych trzech lat. Mam już dość Larry’ego i jego wtrącania się w moje prywatne życie.

— Nie przesadzaj. Masz apartament w Central Parku, drugi w Los Angeles, wydajesz krocie na ciuchy i samochody, a on płaci bez mrugnięcia okiem.

— Ale gdy chcę wyciągnąć większą sumę, od i mnie blokuje. Tak nie może być. I nie będzie. Choćbym miała złapać kogoś na ulicy i zaciągnąć do ołtarza.

— Po co? Masz tłumy wielbicieli. Nie musisz daleko szukać, wystarczy gwizdnąć.

— Mylisz się. To musi być ktoś z zewnątrz. Ktoś, kto po spełnieniu swojego zadania na zawsze zniknie z mojego życia.

Benedict roześmiał się wesoło.

— W takim razie daj ogłoszenie: „Młoda, piękna, bogata poszukuje męża...”.

Za późno ugryzł się w język.

— Bennie, jesteś genialny!

— Z tą twoją whisky coś jest nie tak — zauważył Ferdy Ashton, uważnie wpatrując się w dno szklaneczki.

Jaryis, lord Larne, podniósł głowę znad biurka.

— Co jej dolega — zapytał, marszcząc czoło.

— Ciągle znika — poskarżył się Ferdy — Przysięgam, że jeszcze przed chwilą szklaneczka była pełna. Tak samo butelka. A teraz sam zobacz.

Pochmurna twarz Jaryisa złagodniała w uśmiechu.

— Pijesz moją specjalną znikającą whisky.

— Teraz już całkiem zniknęła.

Wiesz, gdzie ją trzymam.

Ferdy uważnie potoczył wzrokiem po przestronnej zamkowej bibliotece, jakby spodziewając się, że skądś wyłoni się nowa butelka. Ciężka brokatowa zasłona osłaniająca okno poruszyła się lekko. Widać znowu zerwał się wiatr. Okna były zamknięte, lecz nie na wiele się to zdało. Wszędzie hulały przeciągi. Zamek liczył osiemset lat i wymagał natychmiastowego remontu. Mieszkańcy ratowali się przed chłodem grubymi zasłonami i ciepłem z kominków. W bibliotece też płonął ogień i miękkim światłem kładł się na ścianach. Przed kominkiem, na spłowiałym dywanie, leżały dwa owczarki.

Ich pan, mimo arystokratycznego tytułu, z ubioru wcale nie wyglądał na para Anglii, już raczej na prostego farmera. Sztruksowe spodnie i sweter dobre czasy miały dawno za sobą, a ciemnobrązowe włosy po prostu prosiły się o fryzjera.

Jednak gdyby przyjrzeć się bliżej jego lordowskiej mości, łatwo można by nabrać przekonania, że w jego żyłach płynie błękitna krew. W pociągłej twarzy o ciemnych oczach i lekko zakrzywionym nosie kryła się jakaś szlachetna siła. Lord Larne był przy tym wysokim, silnym mężczyzną, co jeszcze bardziej

potęgowało to wrażenie. Opanowany, wręcz chłodny, wybuchał rzadko, lecz czasami krew przodków da wała o sobie znać. Bywało też naprawdę groźnie, gdy ktoś go zirytował lub wypowiedział nieodpowiednią uwagę o jego rodowym dziedzictwie.

Jednak wobec ludzi, których lubił i cenił, był miły i wybaczał każdą słabość. Ferdy Ashton należał do takich. Jaryis miał dla niego nieskończone pokłady cierpliwości, co dla wielu było nie do pojęcia.

Wydawali się całkowicie inni, a jednak przyjaźnili się od szkolnej ławy. Z jednej strony poważny, wręcz purytański Jaryis, z drugiej niefrasobliwy i mimo upływu lat nie odmiennie chłopiący Ferdy.

Próbował być artystą, ale nie wystarczyło mu samozaparcia. Zaniedbał talent i oddał się rozkoszom życia, nie zważając, co przyniesie jutro. Tacy jak on kończą młodo od kuli zdradzonego męża lub trucizny porzuconej kochanki. Być może owa cyniczna, zblazowana postawa wobec życia intrygowała i fascynowała poważnego i skłonnego do zgryzot Jaryisa.

— Nie ma już ani kropelki whisky — jęknął Ferdy. — Nie jest z tobą łatwo, Jaryis.

— Jestem biedny, i niestety dobrze o tym wiem.

Stojąca na progu młoda kobieta o regularnych rysach powiedziała cierpko:

— Twoja sytuacja byłaby inna, gdybyś mniej łaskawie patrzył na próżniaków spijających twoją whisky i latami niepłacących czynszu.

Ferdy zmierzył ją cynicznym spojrzeniem.

— Jeśli piłaś do mnie, siostrzyczko, to zachowaj takie uwagi dla siebie. Już dawno ustaliliśmy z Jaryisem zasady, na jakich u niego mieszkam — Ferdy zajmował domek w miasteczku należący do lorda.

— A kiedy ostatni raz dałeś mu pieniądze?

— Przestań się czepiać i dzielić włos na czworo. Płacę za mieszkanie i drinki. Nie gotówką, lecz swoim towarzystwem, będącym źródłem nieustannej radości.

Sarah Ashton wycedziła kwaśno:

— Chciałabym zobaczyć, jak Jaryis opłaca tym rachunki.

— Sarah, daj mu spokój — lekko rzucił Jaryis — Przecież wiesz, że on jest niereformowalny.

— Nie byłby taki, gdybyś przestał się z nim cackać.

— Byłbym — z przekonaniem zapewnił Ferdy — Już taki się urodziłem.

Podszedł do barku, uważnie go zlustrował i z niczym wrócił na swoje miejsce. Dochodząc do fotela, zaczepił nogą o dywan i chroniąc się przed upadkiem, wbił dłonie w oparcie. Rozległ się trzask pękającego materiału.

— A niech to — krzyknął zdumiony.

— Nie przejmuj się. — Jaryis wzruszył ramionami — Wszystkie meble są w takim stanie.

— Stary, wiesz, co powinieneś zrobić?

— Rozejrzeć się za nowym fotelem.

— Za bogatą żoną.

— Jasne — Jaryis Larne uśmiechnął się szeroko — Widzisz te tłumy milionerek pod moimi oknami? Każda tylko czeka.

— Żebyś wiedział — Ferdy sięgnął po gazetę. — Przeczytaj to ogłoszenie. Głośno i wyraźnie.

— „Okazja dla łowcy posagu. Ze względów formalnych milionerka zawrze nominalne małżeństwo. Doskonałe warunki dla odpowiedniego kandydata”.

Hm, ktoś robi sobie żarty, albo to podstęp jakiegoś dziennikarza. Chce sprawdzić, ilu naiwnych chodzi po tym świecie. Daruj sobie.

— A jeśli to wcale nie jest żart? Nie marnuj takiej szansy.

— Po pierwsze nie mam absolutnie nic do zaoferowania żadnej milionerce...

— Bzdura! — przerwał mu przyjaciel. — Jesteś świetnym facetem, ideałem każdej panienki.

— A ty jesteś niepoprawnym ordynusem — spokojnie podsumował Jaryis.

— Nic dodać, nic ująć — poparła go Sarah.

— Poza tym — ciągnął Jaryis — nigdy bym nie posunął się do tego, by dla pieniędzy zgodzić się na papierowe małżeństwo.

— Masz świętą rację — odezwała się Sarah. Weszła do biblioteki i wskazała na wiszący na ścianie portret starszego mężczyzny w generalskim mundurze. Jego rysy były bardzo podobne do Jaryisa. — Co by powiedział na to twój dziadek — rzekła z emfazą. — Przypomniałby dewizę rodu Larne:

„Niech drżą najeźdźcy”. A potem by pokazał tej kobiecie drzwi.

— Ale najpierw by ją rzucił na siano — z uśmiechem wtrącił Ferdy.

— Ferdy — zgromiła go Sarah.

— Taka jest prawda. To był pies na kobiety. Pamiętam, jak tata opowiadał, że niemal w każdej rodzinie był dzieciak podobny do lorda Larne”a...

— Ferdy, przestań — przerwał mu Jaryis — Nie szokuj siostry — dodał z uśmiechem.

Sarah sięgnęła po gazetę.

— Jeśli to nie żart, to ta kobieta nie ma za grosz poczucia przyzwoitości.

— Nie chciałbym mieć z taką do czynienia — rzekł Jaryis.

— Ale z ciebie konserwatysta — prychnął Ferdy. — Purytanin.

— Masz rację. Ale nie przejmuj się. Uratuję rodowy majątek własnymi siłami.

— Ciekawe jak? — zapytał Ferdy. Jaryis tylko westchnął ciężko.

Kilka minut później Sarah poprosiła go na słówko i oboje wyszli z biblioteki.

- co zawracasz mu głowę, maleńka? — pomyślał Ferdy. Tylko tracisz czas...

Tak też było. Jaryis lubił Sarah, to nie ulegało wątpliwości, ale jak siostrę.

Inaczej już dawno by się jej oświadczył. A wtedy sytuacja Ferdy”ego stałaby się nie do pozazdroszczenia.

Z westchnieniem popatrzył na pustą szklaneczkę. I agle się uśmiechnął. Szybko podszedł do biurka i zabrał kilka czystych kartek z rodowym nadrukiem lorda...

— Powiedz mi, gdzie jest hrabstwo Yorkshire? — zapytała Meryl, gdy razem z Benedictem raczyli się butelką szampana.

— W Anglii. To wszystko, co wiem. Czemu pytasz?

— Właśnie tam mieszka mój przyszły mąż. — Roześmiała się głośno.

— Więc jednak ktoś odpowiedział na ogłoszenie?

— Dziś rano dostałam ofertę — Ziewnęła i ułożyła się wygodniej na skórzanej kanapie.

— Żartujesz! — Aż podskoczył z wrażenia. — Od kogo?

— Nazywa się Jaryis Larne. Prawdziwy lord, ni mniej, ni więcej. Mieszka w zamku Larne w hrabstwie Yorkshire. No, no...

Benedict wziął od niej list.

— Pisze bardzo otwarcie, niczego nie ukrywa — zauważył. — Zamek się wali, whisky się kończy, więc rozpaczliwie potrzebuje bogatej sponsorki.

— To chyba żart. Założę się, że ktoś taki nie istnieje.

— Mylisz się! — krzyknął podniecony — Widziałem to nazwisko. Próbuję dobić się do utytułowanej klienteli, więc kupiłem książkę o arystokratycznych

angielskich rodach — Wziął z półki luksusowo wydany tom. — Mam! Wicehrabia Lame z zamku Lame. Hm, posłuchaj: „Jaryis, lord Lame, wicehrabia. Lat trzydzieści trzy, tytuł odziedziczył w wieku dwudziestu jeden lat”. Nieźle! Zostać lordem w takim wieku. Jus primae noctis... Ho, ho!

— Słucham?

— Prawo pierwszej nocy. Gdy poddana wychodziła za mąż, prawo do nocy poślubnej miał nie jej oblubieniec, ale feudalny pan.

— Nie wygłupiaj się. Wymyśliłeś to sobie!

— Tak było. Odwieczna tradycja. Dlatego mieszkańcy poszczególnych hrabstw są tak podobni do siebie. Gdy dasz lordowi Lame”owi syna, będzie taki sam jak inne okoliczne łobuziaki...

— Przestań bredzić. Przecież to jasne, że za niego nie wyjdę. Dałam ogłoszenie, bo byłam wściekła na Larry”ego, ale już mi przeszło.

— Żegnajcie miliony — westchnął Benedict.

— A raczej witajcie — odparta triumfalnie - o kredyt - Lomax Grierson Bank nie jest jedynym bankiem w Nowym Jorku. Każdy inny z radością da mi pieniądze. Że też wcześniej na to nie wpadłam...

•— Niech cię Bóg błogosławi. Czemu mi nic nie powie działaś?

— Czekam na telefon, który to potwierdzi. To tylko formalność. Gdy zadzwonią, sprawa jest przesądzona!

W tej samej chwili zadzwoniła komórka. Uśmiech szybko zgasł na twarzy Meryl i przemienił się w złość.

— Mówił pan, że nie będzie żadnego problemu — rzekła przez zęby. — Co Larry Riyers ma do tego? Owszem, sprawuje kuratelę nad moim majątkiem, ale... co takiego?

Nim wyłączyła komórkę, Benedict wszystkiego się domyślił.

— Jego macki już tam sięgnęły? Jest szybki.

— Miał czelność zagrozić, że... — Meryl aż nie mogła mówić ze złości. —
Nieważne, są inne banki...

— Z którymi na pewno już się skontaktował.

— Uprzedził, że skieruje sprawę do sądu — prychnęła Meryl — Och, gdybym
tylko...

Znowu zadzwoniła komórka.

— Larry! — krzyknęła Meryl. — Ostrzegam cię...

— Możesz mnie straszyć do woli, skoro to cię bawi — przerwał jej spokojnie.

— Jeśli nie szkoda ci czasu, atakuj inne banki, choć mogę ci z góry powiedzieć,
czym to się skończy. Przez najbliższe trzy lata ten twój Benedict nie dostanie
złamanego centa z twojego konta. Pa!

Rozłączył się.

— Nie dostanie?! Przekonamy się! Klamka zapadła! Bennie, jak się dostać do
hrabstwa Yorkshire?

Popatrzył na nią ze szczerym zdumieniem.

— Chcesz jechać tam jutro?

— Nie jutro! Dzisiaj!

Boże, co ona najlepszego wyprawia?

Jej anioł stróż chyba miał wolne, inaczej zachowałaby się bardziej rozważnie.

Dowiedziała się, że o dziewiątej startuje samolot do Manchesteru, a ona
natychmiast się zdecydowała. Benedict daremnie próbował ją powstrzymać.

— Nikogo tam nie znasz. To pustkowie nad Morzem Północnym, nie dasz sobie
rady.

— Przestań zachowywać się jak kwoka, Bennie. Zamów mi hotel przy lotnisku. Samolot przylatuje wpół do czwartej rano.

— Pięć godzin różnicy, czyli o wpół do dziewiątej. Po co ci hotel?

— Dla mnie to środek nocy.

Po przybyciu na miejsce położyła się spać i po kilku godzinach snu czuła się jak nowo narodzona. Jeszcze tylko prysznic i porządne śniadanie.

Nucąc pod nosem, założyła ostatnią kreację Benedicta, czyli oliwkowozielone spodnie z mieszanki moheru i jedwabiu, do nich płowy sweter i jedwabną apaszkę.

Kończąc makijaż, zastanowiła się, czy nie uprzedzić o swym przybyciu lorda Larne'a, lecz odrzuciła ten pomysł.

W końcu nie chodzi o prawdziwy ślub, tylko o to, by powalić na bruk Larry'ego. Gdzieś w głębi duszy wciąż się jeszcze wahała, zwyciężył jednak duch przygody.

Jeszcze raz przeczytała list. Napisany był z wdziękiem i uroczą autoironią. Wicehrabia o swoim godnym współ czucia położeniu wyrażał się z ujmującym poczuciem humoru i dużą szczerością.

Przed nią prawie dwieście kilometrów. Zamek Larne leżał na niewielkiej wyspie w pobliżu lądu. Gdy ruszyła w drogę wypożyczonym autkiem z podnoszonym dachem, zaczynało szarzeć. Powietrze stało się rześkie. Dojechała do North York Moor, po przejechaniu trzydziestu kilometrów powinno być morze. Z obu stron ciągnęły się wrzosowiska. Słońce schowało się za horyzont, chmury zasnuły niebo. Włączyła światła. Otaczające ją pustkowie robiło ponure wrażenie. Nigdzie ani śladu ludzkiej duszy. Meryl z każdą chwilą czuła się coraz bardziej nieswojo. Wiatr się wzmagął, ciemności gęstniały. Mały

sportowy samochód nie trzymał się drogi, a siąpiący deszcz przybierał na sile. Zatrzymała się, by podnieść dach. Niestety, zaciął się i za nic nie chciał drgnąć. Niech żyje przygoda! Meryi wmawiała sobie, że nie jest źle, lecz w głębi duszy wiedziała, że sytuacja ją przerosła. Spojrzała na mapę. Niedługo powinien być most. Gdyby tak trafił się życzliwy tubylec i wskazał drogę!

Nagle na wprost niej błysnęło światło latarki. Na szosie stał wysoki mężczyzna. W świetle lamp widziała ubłocone spodnie i znoszoną kurtkę. Mężczyzna wyrósł jak spod ziemi, ale sądząc po wyrazie twarzy, nie był przyjaźnie nastawiony. Stał na środku drogi i nie ruszał się z miejsca.

Klnąc pod nosem, wcisnęła hamulec. Ledwie zadziałał. Odległość dzieląca ją od mężczyzny dramatycznie malała.

— Na bok — wykrzyknęła, rozpaczliwie manewrując autem. Minęła nieznanego o włos. Nawet nie drgnął.

Trzęsąc się ze złości i zdenerwowania, wyskoczyła na jezdnię.

— Dlaczego pan nie zszedł — krzyknęła gniewnie. — Mało pana nie przejechałam!

— Chciałem panią zatrzymać — zawołał, przekrzykując wycie wiatru.

— To mogło się skończyć. Nie znam tego auta, po życzyłam je dzisiaj rano.

— I nie sprawdziła pani hamulców.

— Oczywiście, że sprawdziłam. Działały jak trzeba.

— Widać tylko na przywitanie.

— Może pan sobie darować podobne uwagi — prychnęła ze złością — Widział pan, że mam kłopoty z wozem — Cze mu pan nie zszedł?

— Ponieważ zwykle wszyscy schodzą pani z drogi? Stałem, bo szosa jest pod wodą i dopiero miałyby pani kłopot... Wprawdzie tylko szalenic wybiera się w

te strony takim samochodem i w takim stroju, ale nie ostrzegłbym szaleńca, a miałbym wyrzuty sumienia jak za człowieka... Dokąd pani zmierza?

— To nie pana sprawa.

Bolał ją kark od podnoszenia głowy. Właściwie nie zdarzało się jej rozmawiać z mężczyzną wyższym od niej. Ten był wyższy. W dodatku potężnie zbudowany. Spięta twarz, srogie oczy, lekko haczykowany nos. W innych warunkach może uznałaby go za przystojnego, lecz teraz bardziej kojarzył się jej z rozjuszonym bykiem.

— Moja - jeśli zamierza pani wjechać do wody — odciął się. — Ta droga prowadzi donikąd.

— Według mapy do zamku Larne.

— Tam pani nie może pojechać, więc...

— Kto powiedział, że nie?

— Zamek nie jest dostępny dla turystów — prawie warknął z irytacją, przekrzykując deszcz i wiatr.

— Nie jestem turystką!

— Więc, co panią tu przyniosło tak ni stąd, ni zowąd?

— Nie całkiem ni stąd, ni zowąd.

— Co za brednie... nikt tu na panią nie czeka.

— Oczywiście, że na mnie czekają... w pewnym sensie. Może nie dokładnie dzisiaj... Do diabła, po co się panu tłumaczę? Wybieram się do zamku i już.

— Jak? Wpław?

— Mostem.

— Posłucha mnie pani wreszcie — Był naprawdę wściekły — Tu nie ma...

— Zaraz, mam mapę w... Co te wilczury robią w moim aucie?

— Wychodzić — krzyknął mężczyzna, a dwa owczarki natychmiast wyskoczyły na szosę.

— No nie — Meryl zagotowała się ze złości. — Odjeżdżam stąd, nim zacznę mieć przywidzenia... a może już je mam. Coś takiego!

— I bardzo dobrze. Niech pał zawróci.

— Nie będzie mi pan rozkazywać. Jadę dalej, a jeśli nie zejdzie mi pan z drogi, zrównam pana z szosą. — Nacisnęła pedał gazu.

ROZDZIAŁ DRUGI

Chciała jak najszybciej mieć tę podróż za sobą. Do celu już niedaleko. Zaraz będzie na miejscu.

Ten dziwny człowiek... Dużo wiedział o zamku. Może to lord we własnej osobie, przebiegło jej przez myśl, lecz szybko odrzuciła ten nedorzeczny pomysł. Ten zrzędlawy raptus me mógłby napisać takiego przyjemnego listu. Pewnie tylko posługuje w zamku.

Zobaczyła światła wybrzeża, nieco dalej zamajaczyła po świata ogromnej budowli. To prawdopodobnie zamek Larne. Zaraz za mostem. Wyteżyła wzrok, by dostrzec, gdzie zaczynają się barierki, lecz pobocza tonęły w ciemności. Mostu ani śladu. Do zamku wiodła wąska grobla, teraz zalewana falami przyływu. Poczowała mocne szarpnięcie. Obejrzała się i zamarła z przerażenia. Od brzegu dzieliło ją jakieś pięćdziesiąt metrów. Woda przybierała z każdą sekundą. Meryl zrobiło się słabo. Ten gbur miał rację. Jej autko nie nadawało się na takie akcje.

Nie miała jak zawrócić, bo grobla była zbyt wąska, a zresztą nigdy nie uciekała. Tak będzie i teraz. Musiała jak najszybciej pokonać groblę. Wody było na kilkanaście centymetrów, więc powinno się udać. Wcisnęła gaz, lecz kolejna fala z ogromną mocą pchnęła samochód. Meryl w ostatniej chwili odpięła pas i wyskoczyła z pogrążającego się w wodzie auta. Zaczęła rozpaczliwie płynąć, by utrzymać się na powierzchni. Nie miała pojęcia, gdzie znosi ją przyływ. Ciemności gęstniały.

— Tutaj! W moją stronę! — rozległo się gdzieś z tyłu. Resztką sił obnażyła się w kierunku głosu. Mężczyzna, który wcześniej zagroził jej drogę, stał teraz na zalanej grobli. Machał latarką, by łatwiej było go dostrzec. — Tam nie jest głęboko — zawołał, przekrzykując wiatr - Taka tyka jak pani nie straci gruntu! Niestety, nowa fala ścięła ją z nóg i pchnęła na głębszą wodę. Zaczęła na oślep machać rękami. Gdy się wynurzyła, na grobli nikogo nie było. Na ten widok wezbrała w niej złość. Ten facet zostawił ją na pewną śmierć! Co go obchodzi, że ona się zaraz utopi.

— Gdzie jesteś — usłyszała jego krzyk.

- Tutaj!

Cofająca się fala porwała Meryl w stronę morza, lecz silne ręce pociągnęły ją W tył. Boże, czy to się dzieje na prawdę? Nadszedł ratunek?

— Już dobrze. Trzymam cię i nie puszcę — usłyszała upragnione słowa. I rozpoznała głos.

Popatrzyła na swojego wybawcę. Nim skoczył na pomoc, ściągnął sweter i kurtkę. Pod przemoczoną koszulą czuła jego napięte, mocne mięśnie. Tors jak z żelaza, ręce jak ze stali. Odetchnęła lżej.

— Trzymaj się mnie mocno. Nie puszcę cię, póki się nie znajdziemy na twardym lądzie.

— To mi pasuje — wydusiła.

Gdybyś od razu mnie posłuchała...

— Musimy do tego wracać?

— Nie — prychnął przez zaciśnięte zęby — Jeszcze zdążymy. Mam ci parę rzeczy do powiedzenia. — Doholował ją do grobli i usiłował wypchnąć z wody ale okazało się to niewykonalne — Chwyć mnie za szyję!

Nie musiał powtarzać. Przywarła do niego jak do ostatniej deski ratunku.

Wreszcie znaleźli się na twardym gruncie. Serce waliło jej jak szalone. Była tak blisko śmierci! Ze też akurat ten człowiek wyratował ją z opresji...

— Dlaczego mówisz, że przypominam tykę — Sama nie wierzyła, że powiedziała coś tak beznadziejnego.

— Zostawmy to teraz. Wchodź do środka — parsknął, wskazując na swój samochód. Zdezelowany rzech, ale idealny na te warunki. Tak ciężki, że nie dawał się wodzie.

— Z przodu mam papiery. Usiądź z tyłu.

— Z nimi — obruszyła się, ze zdumieniem patrząc na wylegające się na tylnym siedzeniu dwa psy.

— Im to bez różnicy.

Usłuchała go. Owczarki przyjęły ją przyjaźnie, pomrukując radośnie i liżąc ją na powitanie.

— Dziękuję za uratowanie — powiedziała przez zęby.

— Nie musiałabyś mi dziękować, gdybyś była bardziej rozgarnięta.

— Mogłeś powiedzieć, że nie ma żadnego mostu.

— Próbowałem, ale nie chciałaś słuchać. Na wyspę można dojechać groblą, ale tylko w czasie odpływu. Potem za lewa ją woda. Tak się złożyło, że akurat tu byłem, więc żyjesz.

— Jedziesz do zamku?

- Tak.

— Znasz Jaryisa Larne'a?

Zerknął na nią z ukosa i szybko odwrócił głowę.

— Do niego się wybierasz — zapytał, nie odrywając wzroku o, drogi.

— Tak. Fatalnie wyszło. Jak się pokażę w takim stanie?

— Mówisz, jakbyś przyjechała z daleka.

— Z Nowego Jorku. Jestem Amerykanką.

— Dlaczego go nie zawiadomiłaś? Masz do niego jakiś interes?

— Wychodzę za niego — wypaliła, wściekła za jego wścibstwo.

— Mogłabyś to powtórzyć — odezwał się po długiej chwili.

— To długa historia — rzekła wymijająco, zła na siebie, że tak ją poniosło. Lepiej, żeby ten Larne dowiedział się od niej samej, a nie od życzliwych — Powiedziałam ci to w zaufaniu i proszę o dyskrecję.

— Jasne. Nie chciałybyś, żeby wieść o twoich zaręczynach rozeszła się przedwcześnie — podsunął usłudnie.

— Owszem. Poza tym jest parę rzeczy, które dopiero trzeba ustalić — dodała oględnie.

— Hm, parę rzeczy... Czyżbyś nie zdążyła mu się jeszcze oświadczyć?

Poczuła, że oblewa się rumieńcem.

— Nie muszę tego robić — wycedziła.

— A więc już się oświadczyłaś. A co on na to? Zgodził się? Tak od razu?

— Nie twoja sprawa.

— Jasne, powinnaś omówić to z nim... Tak byłoby rozsądniej. Nie można wykluczyć, że odrzuci propozycję.

— Nie może sobie na to pozwolić — odparowała i natychmiast tego pożałowała.

— Naprawdę? W takim razie rzeczywiście nie warto było trudzić się powiadomianiem go o przyjeździe. Po co nie potrzebnie silić się na zachowanie form?

— Posłuchaj no...!

— Przestańmy to drażnić.

Irytował ją jego władczy ton, ale była zbyt przemarznięta, by się z nim spierać. Całe szczęście, że już byli na miejscu. Widać było ciemne zarysy potężnej budowli. Wjechali stromą drogą wiodącą prosto do zamku i zaparkowali przy masywnych dębowych drzwiach. Starsza kobieta wybiegła na powitanie.

— Hannah — zawołał mężczyzna. — Zajmij się panią, póki jeszcze nie zamarzyła na śmierć, dobrze?

Meryl z trudem wy dostała się z samochodu. Światło bijące z wnętrza zamku gościnnie wabiło.

— Proszę do środka — powiedziała Hannah.

Niestety, wewnątrz było niewiele cieplej niż na dworze.

— Och, moja droga — Hannah popatrzyła z przejęciem na Meryl — Musisz się rozgrzać. I ściągnąć te mokre ubrania Natychmiast!

Pociągnęła ją do pokoju, który, sądząc po szafach wypełnionych starymi książkami, najwidoczniej służył za bibliotekę. W starodawnym kominku płonął ogień. Meryl stanęła przy nim i wyciągnęła zmarznięte dłonie. Po chwili wróciła Hannah ze szlafrokiem i ręcznikiem.

— Szybko, bo dostaniesz zapalenia płuc.

Meryl z ulgą pozbyła się przemoczonych ciuchów i wytarła się do sucha.

Hannah podała szlafrok i, pomrukując współczująco, zaczęła suszyć jej włosy.

— Co ci przyszło do głowy, żeby ruszać w drogę w taką burzę? I to po ciemnicy.

— Wpadłam na pomysł, żeby wyjść za lorda Lame’a — wyjaśniła, szczękając zębami.

— Co takiego — Hannah zrobiła wielkie oczy. — Nikomu nie wspomniał, że chce się żenić.

— Może uważał, że to zbyt osobista sprawa.

— Nie on — z miejsca zareplikowała Hannah — Los zbyt wielu ludzi od niego zależy. Gdyby mu się poszczęściło i znalazł worek złota, wszyscy by się podczepili. — Zerknęła na Meryl badawczo. — A może o tobie dałoby się tak po wiedzieć, co?

Meryl zachichotała. Podobała się jej otwartość Hannah.

— Chyba tak — potwierdziła. — Ale już mi przeszło z tym ślubem. To rzeczywiście było wariactwo — Popatrzyła na starszą panią i westchnęła. — Jak większość moich pomysłów, niestety.

Hannah nic nie odpowiedziała. Biorąc ubrania, uważnie je obejrzała. Ich doskonała jakość nieuszła jej spojrzeniu.

— Wezmę je do suszenia — mruknęła, wyraźnie czymś zaprzątnięta — Zostań przy kominku. Przygotuję ci pokój.

Pośpiesznie wyszła z biblioteki. Meryl przycupnęła przy ogniu. Przyjemnie było grzać się w jego ciepłe. Zacisnęła pasek szlafroka, który był na nią o wiele za duży.

Rozejrzała się po wnętrzu. Wszędzie mocno wyblakłe ślady dawnego przepychu. Powycierany dywan, okna podzwaniające od podmuchów wiatru, spłowiałe story.

— Tu naprawdę potrzeba dobrej wróżki — szepnęła do siebie. — Kto wie, może ubijemy interes. Że też tak fatalnie wyszło! Jak zobaczy mnie w takim stanie... Panienska cudem wyratowana z katastrofy!

Usłyszała szelest i popatrzyła na drzwi. Na progu stał jej wybawca. Owczarki, które weszły za nim, pobiegły w jej stronę.

— Dobry wieczór — odezwała się oficjalnie, odsuwając od siebie psie nosy, a drugą ręką przytrzymując połę szlafroka. — Ty już coś o mnie wiesz, ale ja...

— Jestem Jaryis Larne.

Gwałtownie odrzuciła głowę.

— Co takiego? Ty jesteś lord Larne? To niemożliwe!

Znowu niepotrzebnie coś chlapnęła. Niestety, już nie cofnie tych słów.

— Dlaczego niemożliwe? Bo nie bije ze mnie lordowski majestat. Za kogo mnie wzięłaś? Za zarządcę?

— Zapewniam cię, że nie — odparła z godnością — Ale po twoim liście nie tak wyobrażałam sobie lorda Larne'a.

- O jakim liście mówisz?

— Tym, w którym odpowiedziałeś na moje ogłoszenie.

— Ogłoszenie?

— Przestań! Wiem, że było beznadziejne, a jednak odpisałeś. Patrząc na ten zamek, rozumiem twoje motyw.

— Zaraz, poczekaj chwilę — powiedział, przyglądając się jej przenikliwie. — Czy to ty szukałaś łowcy posagów?

— Tak — przyznała z zakłopotaniem — Mogłam to lepiej sformułować, jednak...

— I sądzisz, że twoje marzenie się spełni? Za pośrednictwem mojej osoby?

— Nie — usadziła go ostro. — Dostałam odpowiedź na ogłoszenie, nic więcej. Moje marzenia są zupełnie inne.

— To czemu sobie zawracasz mną głowę?

— Napisałeś do mnie.

— Z całą pewnością tego nie uczyniłem.

Pośpiesznie otworzyła torebkę, ciesząc się w duchu, że ocaliła ją z tonącego auta. Wyjęła list i podała go Larne'owi. Podczas lektury nie spuszczała oczu z jego twarzy. Początkowe zdumienie szybko zmieniło się w gniew.

— Zamorduję go — wyrzekł wreszcie. — Uduszę własny mi rękami, a potem wykopię stąd na zawsze. Niech zwiewa, gdzie pieprz rośnie!

— Kto?

— Ferdy Ashton. Poznaję pismo i charakterystyczny styl.

Poczuła, że zimna pięść zaciska się jej na żołądku. Larne nie kłamał. Mało nie eksplodował z furii. Czyli przejechała taki szmat drogi, by...

— Chcesz powiedzieć, że ktoś się pod ciebie podszył — zdumiała się. — To nieprawdopodobne. Kto by się odważył to zrobić?

— Nie znasz go — rzekł ze złością. — Ten idiota jest zdolny do wszystkiego. Powiedziałem mu jasno, że nie chcę o tym słyszeć. A on dobrze wie, że gardzę takimi rozwiązaniami.

— Jak na kogoś, kto rozpaczliwie potrzebuje funduszy, jesteś nonszalancko wyniosły.

— To moja sprawa i bardzo proszę, byś tak to traktowała. Wracając do tematu... To jakieś brednie. Nie dam się nabrać. Powiedz od razu, że jesteś dziennikarką. Niepotrzebnie się fatygowałaś. Im szybciej stąd znikniesz, tym lepiej.

— Dziennikarką? Oszalałeś? Jestem Meryl Winters — oświadczyła z emfazą.

— I co z tego — rzucił obojętnie.

— Mój ojciec nazywał się Craddock Winters.

— Każdy ma jakiegoś ojca...

— Miał szyby naftowe. Mnóstwo szybów!

— Teraz rozumiem. Zarobił miliony, dzięki którym jego córeczka może zachowywać się jak słodka idiotka. Taka jest twoja wersja?

— Taka jest prawda!

— Nie wierzę ci, ale załóżmy, tak dla logicznego ćwiczenia, że ci wierzę. Po diabła dziedziczka milionów szukałaby męża przez ogłoszenie? Na świecie aż roi się od facetów, którzy tylko patrzą, jak się bogato wżenić, tym bardziej że nie wyglądasz aż tak źle.

— Nie wyglądam aż tak źle — syknęła.

— No dobrze, trochę przesadziłem. Jakoś ujdiesz w tłumie brunetek, i tyle. Nawet gdybym lubił czarnule, a nie lubię, i tak bym na ciebie nie spojrział.

Dławiło ją w gardle.

— Moja propozycja nie idzie tak daleko. Nie chodzi o uczucie...

— Uff, co za ulga.

— Powtarzam, że to poważna handlowa oferta. I tylko handlowa.

— A ja jestem Świętym Mikołajem.

— Do diabła, chodzi wyłącznie o biznes! Nic innego by mnie nie zmusiło, by zastanawiać się nad małżeństwem z facetem, przy którym kij od szczotki

mógłby udawać Apolla... A więc biznes, zapamiętaj sobie. Tak się akurat składa, że jesteś mi potrzebny tak samo, jak ja tobie...

— I tu się pani myli, madame.

— Daj mi skończyć. Ojciec zastrzegł w testamencie, że mogę rozporządzać majątkiem dopiero po osiągnięciu dwudziestu siedmiu lat. Chyba że wcześniej wyjdę za mąż. Do tej pory jestem przyblokowana.

— Wygląda na to, że dobrze cię znał — Jaryis skrzywił się. — Gdybyś była moją córką, kazałbym ci czekać do pięćdziesiątki, a i wtedy specjalna komisja musiałaby zbadać, czy zdążyłaś nabrać rozumu.

— Słuchaj, jeśli...

— To ty posłuchaj. Chyba jesteś zdrowo pokręcona. No dobrze, dostałaś odpowiedź na to kretyńskie ogłoszenie. Dla czego nie zadzwoniłaś? Czemu nie spróbowałaś jakoś tego sprawdzić? Ale po co? Wskoczyłaś do pierwszego samolotu i przyjechałaś tutaj, by spokojnie rzucić się w objęcia faceta, o którym nic nie wiesz.

— Objęcia, też coś... — Spojrzała na niego z obrzydzeniem. — Proponuję pieniądze w zamian za nazwisko. Na tym koniec. Żadnych dodatkowych atrakcji, bo jakoś wcale mnie nie bierzesz...

— Proszę o wybaczenie, że już nie strzelam sobie w łeb z rozpaczy...

— A co do tego, że nic o tobie nie wiedziałam... Otóż mylisz się. Wyrobiłam sobie opinię na podstawie listu. Wy dawało się, że powinien to być ktoś czarujący i z poczuciem humoru. Co ciebie, niestety, nie dotyczy.

— Masz rację, nigdy nie mówiono, że jestem czarujący. Miało to swoje niewątpliwe plusy, bo nie musiałem opędzać się od głupich panienek.

Uniosła dumnie brodę.

— A mój posag też jest głupi? Dzięki niemu ten zamek mógłby odzyskać dawny blask. Masz lepsze wyjście?

— Nie twoja sprawa — wycedził zmienionym głosem.

Meryl, jako typowa choleryczka, szybko wpadała w złość i szybko się uspokajała. Teraz zaczynała dostrzegać komiczne strony sytuacji, w jakiej się znalazła.

— Naprawdę nie musisz się tak bać — powiedziała ze słodyczą w głosie. — Zapewniam cię, że nie dybię na twoją cnotę.

To stwierdzenie jeszcze bardziej go rozeźliło, co zaobserwowała z satysfakcją.

— Nie przeciągaj struny, panienko.

— Wróćmy do meritum. Potrzebuję twojego nazwiska, a ty pieniędzy.

— Wiesz, czego mi najbardziej potrzeba? Żebyś zniknęła z moich oczu — warknął. — Niestety, musimy poczekać z tym do jutra.

— Jak się stąd wydostanę, skoro mój samochód utonął?

— Wyciągniemy go, gdy woda opadnie. — Nagle odwrócił wzrok i z zainteresowaniem zaczął oglądać papiery na biurku.

— Gdy będę mieć samochód, sama zadecyduję, co zrobię.

I bądź łaskaw zdobyć się na odrobinę kultury. Zwykła przyzwoitość wymaga, by nie odwracać wzroku, gdy ktoś do ciebie mówi.

— Właśnie ze względu na przyzwoitość nie patrzę na ciebie.

Zerknęła na siebie i aż zamarła. Zamotany w talii pasek rozsunał się i obie poły szlafroka rozchyliły się, ukazując ją w całej okazałości. Stała jak porażona. W tej samej chwili Jaryis, przekonany, że sytuacja została opanowana, podniósł wzrok znad biurka. Na mgnienie ich spojrzenia się spotkały. Meryl pośpiesznie owinęła się szlafrokiem. Czowała się dziwnie, wręcz niesamowicie.

Powiedział o niej, że jakoś ujdzie w tłoku? Już tak nie myślał, mogła się o to założyć.

— Pięknie ci wychodzą te spontaniczne akcje — z wyraźną niechęcią powiedział wreszcie Jaryis. — Im szybciej to skończymy, tym lepiej.

— Już możesz patrzeć.

Podniósł wzrok.

— Hannah pokaże ci pokój i przyniesie jedzenie.

— Pan tego zamku nie wydaje dzisiaj kolacji?

Popatrzył na nią taksująco.

— W tym stroju siądziesz do stołu?

— Mógłbyś mi coś pożyczyć.

— Już dostałaś mój szlafrok. Co jeszcze mogę ci zaofiarować?

Popatrzyła na niego zuchwale.

— Lordzie Larne, można by pomyśleć, że nie masz ochoty jeść ze mną kolacji.

— Staram się być uprzejmy, ale ta sprawa mętnie wygląda.

— Bo woda była mętna — Zachichotała. — Więc może masz trochę racji.

Ten żart zbił go z tropu, ale szybko się opamiętał.

— Nie ufam ci i nie chcę przedłużać tej rozmowy. — Po patrzył w stronę drzwi

— Hannah, możesz wejść — powiedział głośno.

Drzwi otworzyły się w okamgnieniu, pewnie Hannah nie chciała uronić ani słowa. Widać takie panowały tu obyczaje.

— Zaprowadź panią Winters do Zielonego Pokoju. Dopilnuj, by się ogrzała i nie była głodna.

— Tak można mówić o koniu — cierpko podsumowała Meryl.

— Panno Winters, gdybym miał szczerze wyrazić o pani swoją opinię, zabrałoby to dużo czasu i skończyło się tym, że ktoś z nas poszedłby siedzieć za morderstwo. Więc poprzestańmy na tym.

Wyszedł, nie czekając na replikę.

Hannah podeszła do Meryl i podała kapcie.

— To Jaryisa. Dałabym moje, ale nie byłam pewna, czy... Taktownie nie dokończyła.

— Noszę duży numer — Meryl wcale nie wyglądała na urażoną. — Zwykle tak bywa z tykami. Właśnie dopiero co ktoś tak mnie nazwał.

— Chodźmy, pokażę pokój.

Trudno było jej iść. Przechodząc przez hol, pochwyciła w lustrze swoje odbicie. Obszerny szlafrok, kapcie za duże o trzy numery. Poruszała się w nich jak kaczka.

Piękna przygoda.

Popatrzyła na mijane wnętrza. Masywne kamienne ściany zdobiła kolekcja broni i obrazów przedstawiających sceny walki, w półmroku lśniły tarcze i zbroje.

Meryl zdawało się, że w jednej sekundzie przeniosła się w mroczne średniowiecze. Było to cokolwiek niesamowite.

— Jutro cię oprowadzę po zamku — Hannah przywołała ją do rzeczywistości, łagodnie pociągając Meryl w stronę schodów.

— Larne jutro mnie stąd wyrzuci — sprostowała lekko — O ile wcześniej mnie nie zamorduje. Jeszcze się chyba nie zdecydował.

— Dasz się wyrzucić?

— Jeszcze czego! Wyjadę, gdy sama zechcę. Jeśli myśli, że będzie mi rozkazywać, to się grubo myli.

— Tak myślałam — z zadowoleniem mruknęła Hannah.

Kamienny korytarz, którym szły, tonął w mroku.

— Te ściany są strasznie stare — zauważyła ze zdumieniem Meryi. — Czas odcisnął swój ślad — Przeciągnęła palcami po chropowatej powierzchni. Znieruchomiała, gdy palce natrafiły na wtopioną w kamienny mur gładką płaszczyznę. Przysunęła się bliżej, by obejrzeć ją dokładniej. Z trudem udało się jej odczytać wyryte w niej słowa:

Dziewczyna o zielonych oczach i włosach jak skrzydło kruka przyszła nocą przez fale, wyłoniła się z wiatru i burz. Córka bogatego człowieka z nakazu Losu zjawiała się w zamku, by poślubić lorda i ocalić ród.

Zamarła. W ciemności słychać było pohukiwanie wiatru i szczęknięcie szyb w oknach.

— Od dawna to tutaj jest — zapytała zmienionym, trochę drżącym głosem.

— Och, od setek lat — odparła Hannah. — Od ślubu piątego wicehrabiego z francuską dziedziczką. Jego minstrel skomponował pieśń na tę okazję, a potem ktoś wyrył tu słowa tej ballady.

— Była zielonooka i kruczoczarna?

— Oczy podobno naprawdę miała zielone, ale włosy raczej brązowe. W galerii wisi jej portret. Widać minstrel chciał, by było bardziej poetycko.

To tylko historia... — Meryl odetchnęła z ulgą. Przez mgnienie wydawało się jej, że w ciemności widzi utkwione w nią oczy. Skarciła siebie za głupotę, mimo to zapytała z tłumionym niepokojem: — Ta pieśń dotyczy przeszłości, a nie tego, co ma się wydarzyć?

Starsza pani chyba nie dosłyszała pytania.

— Tu jest twój pokój.

Meryl ciekawie zajrzała do środka. Na wykładanej drewnem podłodze leżało kilka wiekowych dywanów, w wysokich oknach ciężkie story z czerwonego brokatu, na środku masywne łoże z czerwonym baldachimem i zasłonami.

— Niesamowite — krzyknęła z zachwytem. — Prawdziwe łoże z baldachimem. Myślałam, że wszystko będzie zielone, skoro to zielony pokój. A tu ani śladu zieleni.

— Pewnie dawniej były tu zielone zasłony — zdawkowo rzuciła Hannah.

— To chyba było ze sto lat temu, bo te wyglądają, jakby miały się zaraz rozpaść.

— Nie są aż tak zetłałe, nie ma obawy. Są grube i skutecznie chronią przed przeciągami.

Kominek był rozpalony, lecz ciepło nie dochodziło do środka. Meryl podeszła do ognia.

— Domyślam się, że nie macie tu czegoś takiego jak centralne ogrzewanie?

— Centralne? W takim wielkim zamku — obruszyła się starsza pani — Na samą myśl, ile by to kosztowało, aż mi się robi słabo. Tym bardziej, że lord nie ma ani grosza! Ale ty pewnie jesteś przyzwyczajona do ogrzewania, co?

— Prawdę mówiąc, jest tu trochę chłodno.

— Nie martw się — pocieszyła ją. — Szybko przywykniesz. Jak wszyscy.

Wyszła, zostawiając Meryl jeszcze bardziej spanikowaną. Ma przywyknąć do zimna?!

Nie minęła chwila, a Hannah znowu pojawiła się na progu. Tym razem przyniosła flanelową nocną koszulę w róże.

— To moja. W niej będzie ci ciepło. Mam jeszcze coś.

— Podała parę grubych skarpet — Należą do lorda. Ale czego oczy nie widzą, tego sercu nie żal. Wszyscy śpimy w skarpetkach aż do lata, a czasem jeszcze dłużej. No dobrze, teraz usiądź, przyniosę kolację.

Posiłek był smaczny i obfity, do niego butelka wina.

— Nie dosypał arszeniku — zapytała Meryl, ostrożnie upijając łyk.

— Też pomysł — oburzyła się Hannah. — Kuchnia to moje królestwo i nikomu nic do tego.

— A jego lordowska mość? Nie musicie mu pokornie służyć?

Zamiast odpowiedzi Hannah tylko prychnęła, wyraźnie dając do zrozumienia, co sądzi o takim stawianiu sprawy. Poprawiła ogień i wyszła, zapowiadając, że później jeszcze zajrzy.

Metyl zapatrzyła się w migoczący ogień. Przyjemnie było rozkoszować się bijącym od niego ciepłem. Przypominała sobie wydarzenia dzisiejszego dnia. Ciemne, ciągnące się w nieskończoność wrzosowiska i pierwsze spotkanie z lordem Larne'em. Potem dramatyczne chwile, gdy znalazła się w lodowatej wodzie. I zaskakujące wrażenie, gdy poczuła obejmujące ją silne ramiona. Ciągłe pamięta twardego dotyk muskularnej, mocnej piersi Jaryisa. Tak, to było przyjemne.

Mężczyźni, jakich znała, byli z innego świata. Skoncentrowani na sobie, ostrożnie ważący każde słowo, elegancy i wyrafinowani. Miło spędza się z nimi czas, lecz takie kontakty są powierzchowne i błahe. W razie problemów nie mogłaby na nich liczyć.

Na szczęście nie musiała. Miała wystarczająco dużo pieniędzy, by o nic się nie martwić.

Ziewnęła, przeciągnęła się i z uśmiechem popatrzyła na szerokie łóżko.

Odchyliła zasłonę. W środku było ciepło i zacisznie. Może jednak średniowieczni przodkowie znali się na rzeczy?

Zmieniła zdanie, gdy tylko wślizgnęła się pod kołdrę i wyciągnęła na materacu. Musiał być wypchany średnio wieczną słomą.

Wszystko jasne. Tu lokowani są goście, których gospodarz chce jak najszybciej się pozbyć i zniechęcić do następnych odwiedzin. A więc będzie to pierwsza rzecz, jaką Meryl tu zmieni... o ile postanowi pozostać w tym zamku.

ROZDZIAŁ TRZECI

Kiedy się obudziła, powitał ją półmrok. Meryl wstała, podeszła do okna i odsunęła ciężką zasłonę. Promienie słońca zalały pokój.

Po burzy nie było śladu. Wstawał piękny wiosenny poranek. Tuż pod migoczącą powierzchnią wody srebrzył się wąski pasek grobli, od której wiodła ginąca wśród wrzosowisk droga. Po lewej stronie jaśniały zabudowania miasteczka, przy nadbrzeżu kołysały się łódki.

Urzekający sielski widok. Meryl wyszła na balkonik i wystawiła twarz do słońca. Napawała się kojącą ciszą przerywaną tylko krzykiem morskich ptaków i rytmicznym pluskiem fal. Przepęlniła ją niczym nie zakłócona radość.

Wreszcie do sypialni weszła Hannah, przynosząc starannie wyprasowane ubranie i parujący dzbanek.

— My pijemy herbatę, ale dla ciebie zaparzyłam kawę. Jesteś przecież Amerykanką.

Powiedziała to tak, jakby miała do czynienia z przybyszem z innej planety.

Meryl skryła uśmiech.

— Dzięki, Hannah. Wspaniała kawa — pochwaliła, upiwszy parę łyków. Nie było to tak całkiem zgodne z prawdą, lecz chciała mieć gosposię po swojej stronie.

— Jak będziesz gotowa, zejdź na dół na śniadanie — Zmierzyła Meryl uważnym spojrzeniem. — Biedactwo, musisz słać się z głodu. Ale nie martw się, już ja ciebie podkarmię.

Hannah wyraźnie chciała ją obłaskawić. Czy coś knuła? A może lord Larnie czekał na nią z wiadrem wrzącego oleju? Wszystko możliwe...

Po kilku minutach ostrożnie weszła do pokoju śniadaniowego i usłyszała nieznanego, sympatycznego głosu:

— Dzień dobry! Oglądamy przyszłą posiadłość?

Przy oknie stał szczupły młody mężczyzna o pogodnej twarzy i roześmianych niebieskich oczach. Przyglądał się Meryl z jawną ciekawością.

— Przyszłą posiadłość — zdumiała się, patrząc na niego nieufnie.

— Tak będzie, jeśli zostaniesz lady Lanie.

— Skąd pomysł, że... — Nagle ją olśniło — Ferdy — powiedziała. — Ferdy Ashton.

Rozpromienił się jeszcze bardziej.

— Wreszcie nadeszła dawno wyglądana sława!

Meryl zatrzymała się tuż przed nim.

— Lepiej stąd znikaj, nim lord Lanie cię udusi. Albo ja. Jak śmiałeś wysłać do mnie ten list!

— Nie miałem wyjścia. Jarys robił straszne problemy.

— Zaraz się przekonasz, co to są prawdziwe problemy. Aż mnie ręce świerzbią!

— Chciałem dobrze — Zrobił urażoną minę. — Taka przyjacielska pomoc. Jaryis dramatycznie potrzebuje pieniędzy, a ty je masz. Sprawa prosta jak drut.

— Jak drut, powiadasz. Być może, z wyjątkiem tego, że od pierwszego spojrzenia oboje czujemy do siebie odrazę o tym nie pomyślałeś, co?

— Wiem, że Jaryis bywa trudny, ale nie sądziłem, że pojawisz się bez uprzedzenia. Planowałem, że powoli przygotuję grunt i wtedy poszłoby jak po maśle.

— Ale mamy kompletną klapę.

— Słyszałem. Jaryis zadzwonił z samego rana i wymienił cztery sposoby, w jaki chce mnie zabić. Jeszcze nie podjął ostatecznej decyzji.

- To dobrze, bo zamierzam być pierwsza. Równie mocno pragnę twojej krwi.

— Co za wspaniała perspektywa! — Oczy mu się zaśmiały — Do dzieła, Meryl. Rzuć się na mnie, pochwyć ramionami w dzikim szale, gryź i katuj...

— Daj spokój, Ferdy. To mnie nie rusza.

Oczywiście kłamała, co on wyczuł, a ona wiedziała, że wyczuł. Jego cyniczny, szelmowski wdzięk nieodmiennie działał na kobiety. To prawda, Ferdy był pasożytem, ale przynajmniej swoją osobą ubarwiał świat.

— Lord był na ciebie wściekły. Aż mi się nie chce wierzyć, że doczekał do rana, by się z tobą rozprawić.

— Nie czekał. Dzwonił już wczoraj, ale mnie nie było. Nagrał się, aż się gotował. Dziś zadzwonił z samego rana i kazał natychmiast tu przyjść.

— Jak ci się udało, skoro jeszcze jest przyptływ?

— Mam łódkę, więc to żaden problem. Moja siostra, Sarah, uparła się, że zabierze się ze mną. Teraz poszła po Jarvisa. Powiem ci coś w zaufaniu.

Uważaj, bo ona ma na niego oko.

— Chcesz powiedzieć, że się w nim kocha? W takim razie natychmiast się wycofuję.

— Daj spokój. Jaryis zna Sarah od lat i gdyby chciał się z nią ożenić, dawno by to zrobił. Łączy ich zamiłowanie do koni. On uwielbia dzikie galopady, a Sarah jest hodowcą koni. To świetna dziewczyna ale praca rzuciła się jej na mózg. Wiesz, że u koni ogromnie się liczy dobre pochodzenie, i moja siostrzyczka ma fioła na punkcie końskich, a także ludzkich rodowodów. Bez dziesięciu pokoleń wstecz ani rusz... Według niej Ashtonowie to „dobra rodzina”.

— Miło mi to słyszeć — rzekła z rozbawieniem.

— Wyrysowała wszystko dokładnie, posprawdzała w archiwach i wyszło jej, że mam prawo do jakiegoś tytułu. Była w średniowieczu jakaś baronia, która wiele razy prze chodziła z rąk do rąk, ale okazało się, że to ja dziedziczę tytuł... Sarah, jako siostra barona, od razu uniosła brodę i poczuła się lepiej. Choć muszę przyznać, że „lord Ferdynand” brzmi całkiem nieźle, prawda?

— Może i brzmi nieźle, jednak w zestawieniu z tobą ra czej komicznie.

Ferdy roześmiał się szczerze.

— Dziękuję za dobre słowo. Ashtonowie i Larne”owie wiele razy żenili się między sobą, więc teraz Sarah uważa, że tylko ona ma prawo do Jaryisa. Wbiła to sobie do głowy i nawet nie spojrzy na innych facetów. Ale żeby zaraz miłość? Nic z tych rzeczy. Wśród arystokracji miłość nie ma wzięcia, liczą się tylko rodowe interesy. Jednak uważaj, by moja siostrzyczka nie dosypała ci trucizny do herbaty.

— Jeśli jego lordowska mość nie zrobi tego wcześniej.

— Jaryis zyskuje przy bliższym poznaniu.

— Gadanie... — rzekła ponuro.

— Myślisz, że nie zdołasz go polubić?

— Nawet gdybym dożyła setki.

— Zabawne, bo powiedział o tobie to samo.

— Po co w ogóle z tobą rozmawiam — nagle zirytowała się Meryl — Gdybym utonęła, byłaby twoja wina.

— Ale nie utonęłaś, więc z tego wniosek, że to sama Opatrzność cię tu zesłała, byś wyszła za lorda, a twoje pieniądze uratowały zamek Larne przed całkowitą ruiną. Masz nieprawdopodobną górę pieniędzy, co?

— Zupełnie nieprawdopodobną

— Tak myślałem. Naprawdę jesteś córką Craddocka Wintersa? Tego od ropy naftowej?

— Naprawdę, ale Jaryis w to nie wierzy. Uważa, że jestem dziennikarką

— Już nie. Otworzyłem mu oczy, a on na gwałt potrzebuje pieniędzy.

— Ale nie moich, więc jest po sprawie. Chyba, że zdołasz mnie przekonać, bym traciła choćby następnych pięć minut dla kogoś, kto organicznie mnie me znosi, zresztą z wzajemnością. Może to szczegół bez znaczenia, ale tak dla porządku wspomniałam o nim.

— Zawsze trzeba zacząć od postawienia problemu. Potem można przejść do drugiego etapu, czyli znalezienia optymalnego rozwiązania.

— Masz na to niewiele czasu, bo jak tylko wyciągną mój samochód, zaraz stąd...

Słowo „wyjeżdżam” zamarło jej na ustach, bo właśnie zerknęła na tarasowe drzwi, a za nimi ujrzała cudowne słońce i ogród. Znów ogarnęło ją uczucie niezwykłego spokoju, jak niedawno na balkonie. Impulsywnie chwyciła za klamkę i po sekundzie znalazła się wśród bujnej roślinności. Ogród był zdziaczały, widać, że od lat niewiele wkładano weń pracy.

Zaczęła iść zarośniętą ścieżką wijącą się między drze wami. Liście, jeszcze mokre po wczorajszej burzy, lśniły w słońcu. Oczarowana Meryl uśmiechała się. Ferdy szedł tuż za nią, wzrok miał skupiony, uważny.

— Ogród mógłby być lepiej utrzymany — powiedział po chwili — ale to nie takie proste. Poza tym mam za mało czasu na takie prace.

— Jesteś tu ogrodnikiem?

— W pewnym sensie. Zajmuję się trochę ogrodem, by zadośćuczynić za to, że nie płacę czynszu. Wynajmuję od Jaryisa jeden z domków w miasteczku.

— Pracujesz jeszcze u kogoś?

— Nie. Z zawodu jestem malarzem. Kręcę się po ogrodzie i czasem coś zrobię, by Jaryis oszczędził na ogrodniku, rozumiesz?

— I nie ma pretensji, że nie płacisz? Coś tu nie pasuje.

— Chodziliśmy razem do szkoły. Myślę, że znam go lepiej niż ktokolwiek inny.

— I uznałeś, że da się przekonać do tego twojego szalonego pomysłu?

— Nie od razu. Jest bardzo dumny. Ale jeśli ty... zresztą to nieistotne. Pokpiłaś sprawę, ale wybaczam ci.

— Ja pokpiłam... No nie!

Przekomarzając się, przemierzali ogród. Ferdy przypadł Meryl do gustu, no i urok tego miejsca też zrobił swoje. Wszystko wydawało się prostsze.

Opowiedziała o ostatniej potyczce z Larrym Riyersem, co Ferdy przyjął z za chwytem.

— Wiesz, chciałbym, żebyś została lady Larne — powiedział z przekonaniem.

— Liczysz, że mógłbyś nadal niepłacić czynszu?

— Jasne. Nie śpiesz się z wyjazdem. Daj nam szansę. Może nas polubisz. Larne to świetny facet.

— Pewnie. Wczoraj o mało nie wyzionęłam ducha, a dziś wszystko jest olśniewające. Aż nie mogę uwierzyć, że jestem w tym samym miejscu.

— Zaczarowany zamek, zaczarowana wyspa... Ja też nieraz odnoszę takie wrażenie. Zamieszkaj tu chociaż przez kilka dni.

Zamyśliła się. Mogła zostać wśród ciszy, śpiewów ptaków i szumu morza, mogła też wrócić do hałaśliwego Nowego Jorku, spalin i szaleńczego pośpiechu. Cicho westchnęła.

— Ferdy, zapomniałeś o jednym. Mój uroczy narzeczony tylko marzy, żeby mnie stąd wykopać.

— Na to potrzeba czasu, bo najpierw należy doprowadzić do porządku twój samochód...

Uśmiechnęli się konspiracyjnie. Ferdy wziął ją za ramię.

— Chodźmy na śniadanie.

Gdy podeszli do zamku, przeżyła szok, ujrawszy czekającego na nich Jaryisa. Och, nadal nie lubiła tego gburowatego arystokraty z rozpadającego się zamku, ale gdy teraz spojrzała na niego, musiała przyznać, że ten mężczyzna jednak coś w sobie miał. Nie chodziło nawet o imponujący wzrost czy potężny tors, ani też o to, jak na nią patrzył. Jak ktoś, kto stara się nie uzewnętrzniać swojego podziwu...

Trudno powiedzieć, co czyniło go tak... wyjątkowym. Po prostu miał w sobie coś, co go wyróżniało. W największym tłumie natychmiast byłby rozpoznawalny.

— Witam, panno Winters — powiedział z chłodną uprzejmością. — Mam nadzieję, że dobrze się spało.

— Owszem, dziękuję — odparła, darując sobie uwagę o katorżniczym materacu.

— Muszę przyznać — ciągnął Jaryis — że w tym stroju wyglądasz o niebo lepiej, niż w kreacji, którą miałaś na sobie wieczorem.

Błyskawicznie podniosła na niego wzrok. Aluzja do wczorajszej konfuzji z latającymi połami szlafroka była nie potrzebna.

— Tę „kreację”, jak to nazwałeś, włożyłam z przymusu.

— Przykro mi, że była na ciebie zbyt obszerna...

Znowu się zagalopował, lecz nie mógł odegnać tamtego obrazu.

— I mnie jest przykro. Bardzo — ucięta zimno Meryl.

Z głębi domu wyszła młoda kobieta. Jaryis dokonał prezentacji. Sarah Ashton, siostra Ferdy”ego. Na oko zbliżała się do trzydziestki. Jasnowłosa, o regularnych, arystokratycznych rysach. Na pewno nie była piękną, lecz mogła się podobać. Pretendentka do godności lady Larne, pomyślała Meryl.

Sarah traktowała amerykańską intruzkę z chłodną wyniosłą grzecznością. Przy stole zajęła miejsce obok Jaryisa.

— Może wolałabyś kawę — zwróciła się do Meryl.

— Lubię angielską herbatę.

— Naprawdę? Często pijacie ją w Stanach?

Meryl skrzywiła się lekko.

— No wiesz, Ameryka nie leży na Marsie.

Podczas śniadania Sarah pełniła honory pani domu. Jej manierom nie sposób byłoby cokolwiek zarzucić, lecz to co najważniejsze zawarte było w niuansach. A te mówiły, że Meryl jest przybłądą, jankeską prostaczką, która swą osobą

bezczęści szacowne mury lordowskiego zamku. Powinna stąd jak najprędzej zniknąć.

Lecz trafiła kosa na kamień. Meryl nie zamierzała się poddawać, była bowiem zbyt zdesperowana.

Szybko wyczuła, że Jaryisa coś trapi, że jest rozdrażniony. Dziwne. Angielscy arystokraci słynęli przecież z opanowania, a także z tego, że świetnie radzili sobie w trudnych sytuacjach. A właśnie w takiej się znalazł. Meryl zagadnęła go z uśmiechem. Odpowiedział grzecznie, lecz nie podtrzymał rozmowy. Sarah znów przejęła inicjatywę.

Jaryis rzeczywiście miał twardy orzech do zgryzienia. Przez noc ochłonął i był gotów okazać życzliwość i daleko idącą pomoc. Z takim postanowieniem zszedł na dół. I tego się trzymał, póki nie porozmawiał z Ferdym.

To, co od niego usłyszał, było jak kubeł zimnej wody. Meryl naprawdę była nieprawdopodobnie bogata. Jeśli więc teraz zacznie traktować ją przyjaźnie, postawi się w dwu znacznej sytuacji. Jakby zabiegał o jej pieniądze...

Obserwował ją z daleka, gdy razem z Ferdym przechadzała się po ogrodzie. Ta dziewczyna miała w sobie coś niezwykłego. Zresztą zauważył to już wczoraj, szczególnie jej cudowne zielone oczy. Gdy powiedział Meryl, że ujdzie w tłoku, te oczy tak wspaniale rozbłysły gniewem...

Z taką kobietą człowiek ani przez chwilę nie zazna spokoju, to jasne. Żaden mężczyzna o zdrowych zmysłach nie chciałby się z nią wiązać. Jednak jest wyjątkowa, wprost oszałamia. Jak ogień. I tak samo niebezpieczna.

No i ten obraz, gdy stała przed nim prawie całkiem naga! Wspomnienie tamtej chwili wciąż go prześladowało. Tak szczupła i wiotka, a zarazem kusząco

zaokrąglona. Długie zgrabne nogi, leciutko zaznaczone biodra, talia tak cienka, że bez trudu mógłby objąć ją dłońmi...

— Przepraszam, mówiłaś coś — pośpiesznie wrócił do rzeczywistości, zauważając, że Sarah patrzy na niego pytająco i marszczy brwi.

— Chcesz jeszcze tostów?

— Nie, nie. Dziękuję.

Sarah wprawnie kierowała rozmową, perfidnie zachęcając Meryl, by opowiedziała o sobie i swojej rodzinie. Ponieważ Ferdy uprzedził ją o nabożnym podejściu siostry do spraw związanych z urodzeniem i pochodzeniem, Meryl postanowiła się zabawić.

— Moim tatą był Craddock Winters...

— Ten od szybów naftowych — uściślił Ferdy.

— O jego rodzinie niewiele wiadomo — z niewinną miną ciągnęła Meryl! — Tak naprawdę to nic. Wiem dopiero o dziadku. Włóczył się po Ameryce, trochę pracował, trochę kradł, trochę oglądał świat zza krat. Wreszcie osiadł na małym spłachetku ziemi w nędznej chałupinie, mając u boku moją babkę. Ona na pewno była moją babką, bo ojciec wyszedł z jej łona, ale czy dziadek naprawdę jest moim dziadkiem... No cóż, w domu się nie przelewało i babcia dorabiała w knajpie jako... dama do towarzystwa. Powszechnie była znana jako Ognista Mary...

— Nie przeginaj — mruknął Ferdy.

— Myślisz, że to robię?

— Owszem — potwierdził Jaryis, zasłaniając dłonią uśmiechniętą twarz.

Pozbawiona poczucia humoru Sarah wzięła to na serio.

— Współczuję, to musiało zaważyć na twoim dzieciństwie. Trudno żyć ze świadomością, że miało się takich przodków.

— Ależ skąd — Meryl zaczęła mówić z arogancką, prostacką nonszalancją, jakby wychowała się w slamsach. — Byłam jeszcze mała, gdy zgred zarobił pierwszy milion, a następne to już rodziły się jak prosiaki. Oczywiście nadal byliśmy głupi i prymitywni, ale jak masz taką furę pieniędzy, to nikt ci tego w oczy nie powie. Co innego za plecami. Wtedy każdy śmiało wali, że jesteś ordynarnym nuworyszem bez klasy, stylu i pochodzenia.

Jaryis wyprostował raptownie głowę.

— Nigdy nie powiedziałem... — Zachnął się, bo zrozumiał, że dał się podpuścić. Meryl prowokująco patrzyła na niego roześmianymi oczami — Może herbaty? — zapytał cierpko.

— Bardzo chętnie.

Ferdy pochylił się ku niej. Skąd znasz taki akcent? — zapytał cicho.

— Z telewizji — odparła już normalnym głosem

Śniadanie zbliżało się do końca. Sarah uznała, że nad szedł moment, by wyciągnąć najmocniejszą kartę.

— Panno Winters, wszyscy jesteśmy winni przeprosiny. Mój brat zachował się skandalicznie. W tej sprawie mamy jednoznaczne zdanie, prawda, Jaryis?

— Skandalicznie — powtórzył jak echo.

— Naprawdę — obłudnie zdumiała się Meryl. — A jakąż to niegodziwość uczynił Ferdy?

Sarah popatrzyła na nią z osłupieniem.

— Jak to? Czy to znaczy, że o niczym nie wiesz?

Przez chwilę nikt nie przerywał ciszy. Jaryis już otwierał usta, lecz powstrzymał się. Czekał.

— Oczywiście, że wie — Ferdy błysnął uśmiechem. — Wszystko jest jak trzeba, siostrzyczko. Pokajałem się i zostało mi odpuszczone. Meryl ma dobre serce i potrafi wybaczać.

— Zawsze spadasz na cztery łapy... — Sarah spojrzała na Meryl — Szkoda tylko, że jechałaś tu na darmo i niepotrzebnie zmarnowałaś tyle czasu.

— To nie jest zmarnowany czas. Nigdy nie byłam w tych stronach i z przyjemnością zobaczę coś nowego. Mam nadzieję, że dobrze się zabawię.

— Musimy wyłowić z morza twój samochód — przypomniał Ferdy.

— A potem przyjdzie mi tłumaczyć się w wypożyczalni.

— Ciekawe, co im naopowiadasz — mruknął Jaryis — Jak się wykręcisz.

— Łatwo nie będzie. Oczywiście nasłucham się uwag o damskiej głupocie...

Mówiąc to, patrzyła prosto na lorda. Nieoczekiwanie na jego twarzy pojawił się wesoły, szczery uśmiech. Meryl nagle wszystko zrozumiała. Gdyby nie poczucie niemożności i przygniatająca odpowiedzialność za upadający rodowy majątek, Jaryis byłby cudownym, uroklivym i pogodnym mężczyzną.

— Doceniamy twoją wyrozumiałość — Sarah znowu wzięła sprawy w swoje ręce. — Niestety, przyjeżdżając tu, na własnej skórze przekonałaś się, co oznacza rodowa de wiza Larne” ów; „Niech drżą najeźdźcy”.

— Uważasz, że to mnie dotyczy — Meryl zdziwiła się obłudnie. — Może powinnam przenieść się do hotelu?

Oczywiście blefowała. Za nic nie zamierzała się stąd wynosić, szczególnie gdy zabawa robiła się coraz ciekawsza. Nie odrywała oczu od Jaryisa.

— Mam nadzieję, że zgodzisz się skorzystać z mojej gościny — Wprawne ucho wykryłoby, że mówił wbrew sobie.

— Zostań, na jak długo zechcesz.

— Och, jakie to miłe z twojej strony! Mam nadzieję, że twe słowa płyną ze szczerego serca?

— Oczywiście — zaręczył.

Oboje wiedzieli, że sprytnie go podeszła, lecz kodeks obowiązujący angielskiego dżentelmena był bezlitosny. Czyli pierwsza runda dla niej. Już miała wstać, lecz Jaryis podniósł się pierwszy. Na odchodne rzucił jakąś uprzejmą uwagę. Meryl była gotowa przysiąc, że w jego oczach mignęło coś na kształt uznania.

Ferdy okazał się czarującym towarzyszem. Wprawdzie kierował się osobistym interesem, ale Meryl to nie przeszkadzało. Razem popłynęli łódką na ląd, a potem pojechali autem do miasteczka. Zatopiony samochód Meryl widziano podczas odpływu między skałami i kiedy morze znowu się cofnie, można go będzie wydobyć.

Znaleźli firmę, która podjęła się tego zadania, a ponieważ zostało trochę czasu, Meryl postanowiła pobuszować po sklepach. To dopiero było odkrycie! Zamiast kilku niezbędnych rzeczy, kupiła kilka wypchanych toreb ciuchów. Do tej pory nie korzystała z gotowej konfekcji, jako że Benedict szył dla niej na miarę. Teraz otworzyły się jej oczy. W dodatku wszystko było wielokrotnie tańsze. Zadzwoniła do zamku, by uprzedzić Hannah, że wróci wieczorem, poczym poszła z Ferdym na kolację. Pogadali sobie od serca.

Późnym wieczorem Ferdy odwiózł ją do zamku, cmoknął w policzek i odszedł, pogwizdując pod nosem. Hannah powitała ją serdecznie i zaprosiła do biblioteki na małe co nieco.

W pomieszczeniu panował półmrok. Meryl z rozkoszą usiadła przy kominku. Tu znalazł ją Jaryis. Psy nie odstępowały go na krok. Postawił na niskim stoliczku

butelkę wina i dwa kieliszki, a potem przyklęknął przed kominkiem, by poprawić ogień. Wreszcie usiadł na podłodze i na lał wina.

— Udało się zlokalizować samochód — zagadnął.

— Tak, ale utknął między skałami. Potrzebny jest dźwig, żeby go wyciągnąć. Jutro to zrobią. Pochodziłam poskle pach. Wreszcie będę mogła się przebrać.

— Jasne, trudno wytrzymać dwa dni w tym samym ubraniu — rzucił niby obojętnie.

— Przestań! Wczoraj sobie pogadaliśmy i wystarczy. Nie traktuj mnie jak wroga, którego trzeba zniszczyć.

Nie wroga, a największe zagrożenie, z jakim dotąd miał do czynienia. Ledwie to pomyślał, Meryl znów ogromnie go zaskoczyła.

— Jaryis, przepraszam cię — powiedziała. — To wszystko moja wina..., no, po części również Ferdy”ego. W każdym razie na pewno nie twoja. Wiem, że za wiele się spodziewałam, zjawiając się tu znienacka i licząc, że sprostasz wy z

— Potrafię sprostać wszelkim wyzwaniom — zareagował z urazą w głosie.

— Tak? Wiele osób twierdzi, że ze mną nie sposób sobie poradzić.

— Pochlebiasz sobie — skrzywił się ironicznie.

— Nieładnie tak mówić, gdy ktoś przeprosza.

Uśmiechnął się z przymusem.

— Wiesz, jak wytrącić człowiekowi broń — mruknął zgryźliwie.

Meryl nie zareagowała na zaczepkę, tylko podniosła przykrywkę. Hannah przygotowała sałatę z kurczakiem i biszkopt z bitą śmietaną. Psy natychmiast podniosły głowy i wlepiły w nią wzrok.

— Jak się wabią?

— Rusty i Jacko. Nie mam z nimi życia, ciągle mnie dręczą. Sam nie wiem, po co je trzymam.

— Bo za nimi przepadasz — powiedziała.

— Chyba tak — mruknął.

Nagle Rusty poderwał się i chwycił z talerza kawałek kurczaka.

— Oddaj — Wykrzyknęła. — Udławisz się kością. Niedobry pies!

Mogła sobie tak krzyczeć do woli. Meryl bez zastanowienia włożyła rękę do pyska Rusty’ego. Pies warknął ostrzegawczo, lecz puścił kasek, lekko tylko zahaczając zębami o jej palce. Meryl potarła dłoń.

— Ugryzł cię — zaniepokoił się Jaryis.

— Kłapnął niechętnie. Skóra jest cała.

— Pokaż. — Ujął jej szczupłą dłoń w mocne ręce, obejrzał uważnie i odetchnął lżej. — Miałaś szczęście. To wyjątkowo spokojne psy, ale nawet ja bałbym się odbierać im jedzenie z pyska.

— Wiem, że to nierozsądne, ale kiedyś na moich oczach pies udławił się kością z kurczaka.

— Kiedy to było?

— Jak byłam mała. Miałam spanielka, nazywał się Potts. Wariowałam na jego punkcie. Nikt mi nie powiedział, że nie powinien jeść drobiu i dałam mu kurczaka. Zdechł na moich rękach.

— A twoi rodzice?

— Mama już nie żyła.

— A tata?

— Tata był stale zajęty. Jak wracał do domu, nie rozmawialiśmy o Pottsie. Prawdę mówiąc... urwała.

— Powiedz — nalegał.

— Tata wrócił wieczorem i od razu poszedł do gabinetu. Po drodze rzucił tylko, że może tym razem nie zostanie tam Potts. A Potts już od trzech tygodni nie żył. Tata po prostu zapomniał.

- Może nie wiedział Skoro ciągle nie było go w domu... To nic takiego.

— Był, kiedy to się stało. Strasznie płakałam, a on pocieszał mnie i obiecał, że kupi mi nowego psa. Dostałam histerii. Opłakiwałam śmierć ukochanego przyjaciela, a on mi mówi, że wystarczy trochę dolarów i po sprawie... Dla niego wszystko było do kupienia.

Patrzył na nią uważnie. Ciepłe światło migoczącego ognia łagodnie rozświetlało jej twarz.

— Powiedziałaś mi, że Potts nie żyje? — zapytał.

— Nie zdążyłam, bo przepadł w gabinecie. — Odwróciła się do psów i pogłaskała je pieszczotliwie. — Niedobre głupty — zamruczała miękko i cmoknęła zwierzaki w czoła.

— Trochę posiwiały. Ile mają lat?

— Dziesięć. Miałem ich ojca, przedtem ich dziadka.

— Nie mają młodych, które je zastąpią?

— Ich nie da się zastąpić. Sama wiesz, jak to jest.

Ponownie napełnił kieliszki. W milczeniu sączyli wino.

Patrzył na Meryl z ukosa. Lekko wilgotne od morskiej wilgoci włosy rozpuściła na ramiona, by wyschły przy ogniu. Bardzo długie, czarne i... piękne.

Natychmiast przypomniał sobie wiersz wyryty na ścianie zamku:

Dziewczyna o zielonych oczach

i włosach jak skrzydło kruka...

Nie, nie chciał wgłębiać się w treść starożytnej inskrypcji. Inaczej niż Hannah, która wciąż do tego wracała. Zresztą nie tylko ona. Wiadomość o pojawieniu się tajemniczej nie znajomej rozniosła się lotem błyskawicy. Gdzie by się nie ruszył, wszędzie witały Jaryisa ciekawe — i pełne nadziei spojrzenia.

— Kto to jest? — spytała Meryl, wskazując na wiszący na ścianie portret.

— Mój dziadek. Był generałem.

— Wygląda na kogoś, kogo przyjemnie byłoby poznać.

— Hm... jego podwładni mieli inne zdanie. Bali się go.

— Ale ja nie jestem mężczyzną, a on umiał postępować z kobietami. Widać to w jego oczach.

Już miał zaoponować, gdy przypomniał sobie niedawną rozmowę z Ferdym. Zgodnie stwierdzili, że generał odprawiłby, ale najpierw rzuciłby Meryl na siano...

Lord Larne potrafił korzystać z życia, co zresztą od pokoleń było dziedziczne w rodzie. Dopiero Jaryis wyłamał się z tej tradycji. Dziedzic świetnego tytułu, męski i bardzo w oczach kobiet atrakcyjny, odgradzał się jednak opanowaniem i chłodem. I tylko czasami w jego spojrzeniu pojawiał się błysk, świadczący o skrywanym pokrewieństwie z legendarnym generałem Larne'em, o dzikim temperamencie i żywiołowym umiłowaniu życia. Wystarczyło tylko popuścić wodze... Lecz nie wolno mu tego zrobić, szczególnie przy Meryl.

Jaryis poczuł ukłucie żalu, lecz szybko wziął się w garść.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Meryl ziewnęła, przeciągnęła się z wdziękiem i umościła wygodniej w fotelu.

— Gdzie podziała się Sarah — zapytała niewinnie.

— Pojechała do domu.

— Miło słyszeć — mruknęła. — Trochę się jej boję.

Jaryis roześmiał się serdecznie.

— Nie wyglądasz na osobę, która łatwo dałaby się skrzywdzić — rzekł. — A jeśli chodzi o Sarah... Znamy się i przyjaźnimy od dziecka. Jesteśmy spokrewnieni, niezbyt blisko, ale w arystokratycznych rodzinach ma to swoje znaczenie.

— Moja stryjeczna praprababka była młodszą siostrą ojczyma twojego dziadka... — roześmiała się Meryl.

— Tak to działa, jednak między naszymi rodzinami koligacje są wielokrotne i niesłychanie skomplikowane. W każdym razie Sarah jak lwica broni tradycji i ogromnie jej zależy na zachowaniu rodowej spuścizny. Uważa, że z racji urodzenia powinna zostać lady Larne, dlatego stałaś się dla niej zagrożeniem. Uznała cię za najeźdźcę.

— Podobnie jak ty — odparowała.

— Nie wracajmy do tego. Może nie uwierzysz, lecz Larne słynie z gościnności.

— Jeśli jest się mile widzianym gościem, a nie wrogiem.

— Czasem nie wiadomo, kto kim jest naprawdę... Wróg zwykle nadciągał od północy, dlatego wzdłuż północnego wybrzeża powstał ciąg warowni, w tym również zamek Larne.

— Czemu zbudowano go na wyspie?

— Wtedy to był stały ląd, lecz erozja zrobiła swoje.

— Powinieneś umocnić groblę — rzuciła w zamyśleniu — Bo tylko patrzeć, jak zniknie.

— To prawda — powiedział głucho z tłumioną pasją.

— Czy znów stałam się najeźdźcą — rzuciła ostro.

— Przepraszam — Był zły na siebie.

— Ładny ze mnie agresor, skoro topiłam się u wrót wrogiego zamku, a dzielny obrońca wyciągnął mnie za frak z wody... — Roześmiała się.

— Co cię tak bawi — Jaryis nadal był zdetonowany.

— Bo to komiczne — Zachichotała. — Szturmuję zamek, a trzeba mnie ratować jak przytopionego kota.

Jaryis przyglądał się jej z fascynacją. Biło od niej tyle światła i radości, że cały pokój zdawał się promienieć niemal wyczuwalnym ciepłem.

— Po co mnie wyciągnąłeś? Nie miałbyś teraz kłopotu.

— Wątpię — odparł z lekkim uśmiechem — Z żywą być może dam sobie radę, ale gdybyś spoczęła na dnie morza, dręczyłabyś mnie jako topielica. A z upiorami gorsza sprawa.

— Cieszę się, że mnie doceniasz. — Nagle spoważniała.

— Jaryis, zaryzykuję i jeszcze raz ci się narażę. Powiedz mi, czy nie ma jakiejś fundacji, do której mógłbyś się zwrócić o środki na zachowanie dziedzictwa narodowej kultury?

— Są różne organizacje, ale nie dysponują takimi sumami. To marzenie ściętej głowy — dorzucił ze zniechęceniem.

Zmienił temat. — Mam nadzieję, że dobrze bawiłaś się w towarzystwie Ferdy’ego?

— Tak. Zaprowadził mnie do knajpki przy dawnym opactwie i pokazał, gdzie Bram Stoker pisał „Drakulę”. Jutro obejrzymy cmentarz i miejsca, gdzie to wszystko się działo.

— To nie zdarzyło się naprawdę. To tylko fikcja.

— No tak. Ale wiesz, o co mi chodzi.

— Owszem, wiem. Patrzysz na Anglię jak na skansen w parku rozrywki. O czym jeszcze rozmawialiście? Chyba że to tajemnica...

— O czym rozmawialiśmy?

— Dobrze wiesz, o co pytam. — Znowu stał się chłodny. Czy Ferdy wyśpiewał ci wszystkie moje sekrety?

Mówiąc prawdę, Ferdy bez ogródek opisał sytuację zamku i dóbr Lame, choć zrobił to z najszlachetniejszych pobudek. Zarzekał się, że zawinili ojciec i dziadek Jaryisa, którzy żyli ponad stan i zostawili schedę w katastrofalnym położeniu. Mimo to dziedzic długów i zrujnowanej fortecy nie skarżył się na nich, tylko robił, co w jego mocy, by nie dopuścić do ostatecznego upadku Larne. Ale niestety nie wiele mógł już zdziałać...

— Wspominał, że znalazłeś się w kłopotliwej sytuacji — rzekła wymijająco — O czym wiedziałam wcześniej. Ile by kosztowało założenie centralnego ogrzewania?

— Nawet się nad tym nie zastanawiałem. Zamek to tylko część problemu. W skład majątku wchodzi ogromne tereny, ludzie, którzy dzierżawią farmy, ich rodziny. Wszyscy ledwie zipią. Gdybym miał pieniądze, mógłbym poprawić ich los...

— Czyli wniosek jest jeden: ślub ze mną to strzał w dziesiątkę. Czemu więc masz aż tyle zastrzeżeń?

— Bo jesteś najeżdźcą! — Za późno ugryzł się w język. Przepraszam, to było niegrzeczne.

— Za to szczerze. Nie mam ci tego za złe.

— Podam ci inny powód. Żyjesz w baśniowym świecie. Nie masz pojęcia, ile to by kosztowało.

— Z kilka milionów funtów — rzuciła lekko.

— I jesteś w stanie tyle wyłożyć — zapytał z ironią.

— Będę, gdy wyjdę za mąż.

— Zapłacisz za mnie, a sama zostaniesz bez grosza?

Meryl uśmiechnęła się z rozbawieniem. Ten uśmiech przypomniał mu, co powiedziała wcześniej: że nie stać go na odtrącenie jej propozycji.

— Wiem, na co mnie stać — powiedziała spokojnie. — Wystarczy i na ciebie, i na Benedicta.

— Benedicta?

— To mój przyjaciel z Nowego Jorku. Jest świetnym projektantem mody, którego świat dopiero musi odkryć. Chcę w niego zainwestować, pomóc, by się wybił.

Jarys popatrzył na nią z niedowierzaniem.

— Ile na to trzeba?

— Dziesięć milionów..., dolarów.

Podniósł się gwałtownie. Wiedział, że Meryl jest zamożna, ale żeby aż tak... Z takim bogactwem mogła zaanektować zamek, przejąć nad wszystkim kontrolę, urządzić wszystko po swojemu. A on nie będzie w stanie się oprzeć, chyba że zrobi to zaraz.

— Pięknie to sobie obmyśliłaś — rzekł. — Zupełnie nieźle. Tylko nie do końca.

— Wiem, na co mnie stać.

— Nie wątpię — wycedził z pasją- Tylko nie wzięłaś pod uwagę, na co ja jestem w stanie się zgodzić.

— Tego jeszcze nie wiem.

— No to teraz się dowiesz — warknął.

Wreszcie dotarło do niej, że coś jest nie tak.

— Nie miałam na myśli...

— Wiem, co miałaś na myśli. Jeśli skończyłaś kolację, odprowadzę cię na górę.

W milczeniu pozbierali torby z zakupami i wyszli z biblioteki. Byli już przy schodach, gdy z kuchni rozległo się wołanie Hannah:

— Jaryis, mógłbyś na chwilę podejść? Chcę o coś za pytać.

— Już idę — odkrzyknął. — W takim razie dobranoc.

— Dobranoc — odpowiedziała i ruszyła na górę.

Powiesiła nowe ubrania, wzięła prysznic i przebrała się w delikatną jak mgiełka krótką koszulkę z atłasu i koronki. Miała serdecznie dosyć workowatej flaneli.

Już miała gasić światło, gdy nagle drzwi otworzyły się gwałtownie i do środka wpadł Jaryis. Miał wykrzywioną złością twarz.

— Zaraz! Dlaczego wchodzisz bez pukania — oburzyła się Meryl.

Jego oczy ciskały pioruny.

- Musiałem sprawdzić, kto ośmielił się tutaj przyjść bez mojej zgody! Takich rzeczy nie puszczam płazem.

— Hola, hola — zawołała ostro. — Przecież sam mnie tu umieściłeś.

— Nie. Miałaś dostać Zielony Pokój.

— A nie jest? No tak, zdziwiłam się, że nie jest urządzony na zielono.

— To był pokój lady Larne. Nie masz prawa tu być. Wymogłaś na Hannah, żeby tutaj cię ulokowała?

— Żartujesz? Skąd miałam wiedzieć, że jest taki pokój?

-Hm...

— Jaryis, bo naprawdę się wścieknę. Przecież nie kła mię, bo i po co?

— Przepraszam. Mam nadzieję, że wybaczysz mi...

— Nie ma mowy!

— Urażona niewinność... — mruknął zgryźliwie. — A sama wciąż mnie prowokujesz, Zachowujesz się jak ktoś, dla kogo nie istnieją żadne zakazy i kto może kierować się wyłącznie własnymi kapryсами. Przecież wyraźnie dałaś do zrozumienia, że zamierzasz przejąć Larne.

— Człowieku, o czym ty bredzisz?! Opanuj się. Pozwoliłam sobie tylko na kilka drobnych sugestii.

— Jasne. Postaraj się o granty od organizacji społecznych, zadbaj o groblę, centralne ogrzewanie...

- Praktycznie podchodzę do życia i widzę, co można zrobić. Mówiłam to w dobrej wierze. Chciałam pomóc.

— Prosiłem cię o to?

— Może nadeszła pora, żebyś wreszcie poprosił? A kto poza mną może ci pomóc?

Popatrzył na nią zwężonymi oczami.

— Mówisz poważnie?

— Już nie. Myślałam o kimś zupełnie innym niż ty.

— O jakimś bezbarwnym faceciku, o którym mogłabyś natychmiast zapomnieć.

— A więc remis. Bo sam przystałbyś na podobny układ z kobietą, którą następnego dnia miałbyś z głowy.

— W takim razie nie mamy co próbować. Czy ty naprawdę uważasz, że wszystko ci się należy? Tak po prostu, samo z siebie? Nawet gdybym odpowiedział na to ogłoszenie, to skąd pewność, że coś by z tego wyszło? Że byś mi się spodobała?

Uśmiechnęła się. Na to pytanie знаła odpowiedź. Spodobała mu się, tak jak on jej.

Pomyślał o tym samym i poruszył się niespokojnie. Meryl była absolutnie pewna swej kobiecości, urody, czaru i inteligencji, co bardzo go deprymowało. Tym bardziej, że miała czym się pysznić... Gdyby nie jej bogactwo, już dawno straciłby dla niej głowę. I ta zielonooka diablica doskonale o tym wiedziała! A przy tym zawsze umiała zaakcentować swoją pozycję...

— Na twoim miejscu przyzwoita kobieta by się czymś okryła — powiedział, żeby odzyskać nieco pola.

— A przyzwoity mężczyzna już dawno by stąd wyszedł, nieprawdaż?

— Czujesz się bardzo pewna, bo masz pieniądze.

— Jaryis, nie patrzysz teraz na moje pieniądze... — Uśmiechnęła się.

— Ale one zawsze są w tle. Masz tę świadomość, bez względu na to, co robisz. Dlatego zachowujesz się jak ktoś, kogo nie obowiązują żadne reguły, tylko spełniasz swoje zachcianki. Kiedyś się jednak na tym przejedziesz. Chciałbym być tego świadkiem.

— Jeśli mnie wyrzucisz, to masz na to manie szanse.

— Nawet bym się z tobą ożenił, by zobaczyć, jak sobie poradzisz, gdy dopadną cię kłopoty i problemy nie do prze skoczenia.

— Zawsze sobie radzę, to pewne — powiedziała buńczucznie i uśmiechnęła się.

— Mając u boku armię służących — rzekł cierpko. — Ale tu byłabyś zdana na siebie, i co gorsza na lasce kogoś, kto wcale nie pała do ciebie miłością.

— Przecież chcesz mnie — powiedziała miękko.

— Tym gorzej dla ciebie. Głupio robisz, licząc na moją dobrą wolę.

— Nigdy nie byłam na niczyjej łasce. I nie będę.

Patrzył na nią w milczeniu... i nagle jej pewność siebie zaczęła się rozwiewać. Wczoraj Jaryis widział ją prawie naga, teraz stała tuż przy migoczącym kominku okryta jedynie cienką koszulką. To słaba osłona. Gra, która jeszcze przed chwilą wydawała się łatwa do wygrania, nagle zaczęła się komplikować, pojawiło się w niej coś nowego, z czym Me-rył mogła sobie nie poradzić...

— Powinieneś już wyjść — powiedziała oschle.

— A jeśli tego nie zrobię? — Wyciągnął rękę i mocno przytrzymał za ramię.

— Możesz mnie puścić? — prychnęła.

— Wolę nie.

— A twój honor angielskiego dżentelmena?

Zaśmiał się tak, że aż się wzdrygnęła.

— O czym ty w ogóle mówisz? Moi przodkowie złupili ten kraj i siłą wzięli go w posiadanie. Nie patrzyli, czy to się komu podoba, czy nie. I nie zachowywali się jak dżentelmeni.

Zapadła cisza. Popatrzyła na niego, lękając się, by nie spostrzegł, jak bardzo jest niespokojna. Serce biło jej jak szalone, nie z trwogi, a z dziwnego, upajającego jak wino podniecenia.

Wreszcie puścił ją i cofnął się o krok. Oddychał głęboko, jakby brakowało mu powietrza. Ruszył do drzwi i odwrócił się w progu.

— Jutro stąd wyjedziesz. — I wyszedł.

— Ani mi się śni — szepnęła do siebie. — Nie teraz, kiedy w końcu zaczyna mi się tu podobać.

Gdy zeszła na śniadanie, Jaryisa już nie było. Zjadł wcześniej, by się ze mną nie spotkać, skostatowała.

Wciąż miała wrażenie, że Jaryis jest tuż obok niej. Gdy się obudziła w środku nocy, wydawało się jej, że trzyma ją w ramionach...

Musi być ostrożniejsza. On też to zrozumiał. Dlatego wczoraj się wycofał, choć tak niewiele brakowało, by zaczęli się całować. Nie chciał igrać z ogniem, to jasne. Nie za mierzał tracić kontroli nad sytuacją.

Lecz co przyniesie przyszłość?

Wybrała pomarańczowe spodnie i luźną bluzkę w delikatny deseń liści. Do tego jedwabna apaszka. Zadowolona z efektu, uśmiechnęła się do swojego odbicia. Hannah, po dając śniadanie, też z uznaniem kiwnęła głową.

— Niepotrzebnie ulokowałaś mnie w pokoju lady Larne. Jaryis nie był tym zachwycony.

— A kto by się przejmował humorami lorda — Flannah z dezaprobatą wyduła wargi.

— Spodziewa się, że przeniosę się do Zielonego Pokoju — dodała konspiracyjnym tonem Meryl.

— No cóż, może znajdę czas, by przenieść twoje rzeczy. Ale tyle mam roboty...

— Nie chciałabym ci burzyć planu dnia... — Mery! zachichotała i dodała — Pan Ashton dzwonił, że wpadnie za pół godziny.

Po śniadaniu Meryl postanowiła przejść się po zamku. Większość zamkowych pomieszczeń me była używana, lecz pozostałe i tak wymagały ogromnej pracy, by prezentowały się jako tako. Oprócz Hannah zajmowało się tym starsze małżeństwo, Seth i Annie. Wprawdzie z racji wieku właściwie nie nadawali się już do pracy, lecz Jaryis me miał serca ich zwolnić.

Meryl spotkała ich w holu. Obrzucili ją ciekawymi spojrzeniami, po czym ruszyli w stronę biblioteki, skąd dobiegał gwar licznych głosów.

— To poddani lorda — zniżając głos do szeptu, wyjaśniła Hannah — Doszły do nich wieści.

— Jakie wieści?

Znaczące spojrzenie Hannab powiedziało wszystko. Meryl podeszła bliżej. Przez uchylone drzwi widziała Jaryisa otoczonego pięcioma mężczyznami. Jeden z nich gromko powiedział:

— Moja żona uważa, że to najlepsza wiadomość od lat. Tak się cieszymy...

— Hal, nie mam pojęcia, co takiego słyszałeś... przerwał mu Jaryis. Ton głosu świadczył, że rozmowa nie była mu w smak.

— Mówię o dziedzicze wielkiej fortuny, która zjawiła się w środku burzy i jest tak bogata, że może nas uratować. Nasz los jest w twoich rękach. Znajdziesz sposób, poradzisz sobie.

-Hal...

— Tej nocy wielu z nas wreszcie spokojnie zasnęło.

— Nie róbcie sobie zbyt wielkich nadziei — rzekł wymijająco. — Nic nie zostało ustalone.

— Jakoś to załatwisz — rozległ się inny głos. — Czyli mamy nie puszczać pary z gęby, póki nie zapadną odpowiednie decyzje?

Odskoczyła od drzwi, lecz nie zdążyła skryć się przed wychodzącymi. Nie miała wyboru, musiała wejść do środka. Starła się nie patrzeć na Jaryisa, lecz wyraźnie czuła jego obecność. Nie był zadowolony.

— Przepraszam, że przeszkadzam, milordzie — odezwała się z wymuszonym spokojem.

Mężczyźni patrzyli na nią, jakby właśnie wynurzyła się ze spienionych odmętów. Uśmiechnęła się. Jaryis nie miał wyjścia.

— Panowie, to panna Mery! Winters. Przebywa tu w gościnie po niefortunnej przygodzie w czasie burzy.

Przywitała się, nie zapamiętując nazwisk. Patrzyła z niedowierzaniem na zgromadzonych. W średnim wieku, skromnie ubrani, spracowane dłonie.

Wszyscy mieli w sobie coś podobnego, jakąś rezygnację, jakby zbyt długo czekali na nadzieję i stracili wiarę, że w ich życiu coś się poprawi. Jakby przytłaczała ich świadomość, że niewiele trzeba, by ich krucha egzystencja legła w gruzach.

Ścisnęło ją w środku. Dla nich to nie była zabawa, lecz sprawa życia i śmierci.

— Panno Winters, moglibyśmy zamienić parę słów — poprosił Jaryis. —
Spotkajmy się w ogrodzie.

— Może przełożymy to na później — Najpierw chciała wszystko dobrze przemyśleć — Muszę być przy wyciąganiu auta. Jadę tam z Ferdym.

Wyszła, nie czekając na odpowiedź. Zdumione miny ze branych świadczyły, że jej zachowanie przekroczyło dopuszczalne normy. Kazać jego lordowskiej mości czekać na siebie... Skandal!

— Ponoć do zamku przybyła delegacja — zagadnął Ferdy, gdy odbili od brzegu
— Dali Jaryisowi popalić?

— Powiedzieli, że mu ufają. Ze na pewno sobie poradzi, coś wymyśli... —
powiedziała w zamyśleniu.

Ferdy wybuchnął śmiechem. Jeszcze wczoraj by mu za wtórowała, lecz teraz zmarszczyła brew.

Samochód już wyciągnięto. Był w opłakanym stanie. Na szczęście walizki okazały się szczelne. Przełożyli je do samochodu Ferdy'ego, a jej auto zostało załadowane na lawetę.

Po lunchu z Ferdym wybrała się do miejscowej filii banku. Szef przyjął ją z chłodną rezerwą, lecz po kilku telefonach do Nowego Jorku zmienił się nie do poznania i stał się uprzedzająco grzeczny. Wyposażył ją w awaryjną książeczkę czekową, z przejściem obiecując, że jutro wystawi normalną.

Gdy podjechali do brzegu, droga na grobli była prze jezdna, a stary dżip Jaryisa kierował się w stronę miasteczka. Na ich widok zatrzymał się. Meryl podeszła do auta.

— Jesteś na mnie zły — zapytała.

— Skądże — odparł grzecznie — Ale powinniśmy porozmawiać.

— Masz rację — Nim się spostrzegł, wsiadła do środka.

— Jedźmy — rzuciła. — Cześć, Ferdy!

Ferdy szybko przełożył jej bagaże, Jaryis ani drgnął. Nie odezwał się ani słowem.

— Nie wydaje mi się, by to był dobry pomysł...

— Wolisz rozmawiać w zamku? Ściany mają uszy. Tu możemy pogadać w cztery oczy. Możesz śmiało rzucić mi w twarz, co o mnie myślisz.

— To prawda — mruknął. Ruszyli do przodu.

Przez kilka minut jechali w ciszy. Wreszcie znaleźli się wśród łagodnie falujących, bezkresnych wrzosowisk.

— Mógłbyś na chwilę stanąć?

Samochód zatrzymał się ze zgrzytliwym hałasem. Meryl zeskoczyła, za nią owczarki. Zapatrzyła się na rozciągającą się przed nią cudowną, zieloną dolinę. Żywopłoty, kamienne murki, pasące się owce...

Jaryis stanął obok Meryl, przyglądając się jej badawczo i marszcząc czoło.

— To wszystko należy do ciebie — zapytała cicho.

— Mam kilka farm w tych stronach.

— Nigdy nie widziałam tylu polnych kwiatów. Rzadko bywam w takich miejscach...

— Jesteś jak kwiat ze szklarni. — Nie zabrzmiało to złośliwie, raczej smutno.

— W szklarni rosną piękne rośliny, ale nie dostrzega się pór roku.

— Tutaj żyjemy w rytmie natury. Teraz jest najpiękniej. Jagnięta już przyszły na świat, pora brać się za siew.

Psy węszyły w trawie, zachwycone wycieczką. Jaryis rzucił im patyk, ale nie popędziły za nim. Wolały, by Meryl czochrała je po uszach.

— Domyślam się, że z uprawy roli nie ma dużych pieniędzy — zapytała z zamyśloną miną.

— Jak na to wpadłaś — zaśmiał się z leciutką ironią.

— Nie ja. Mój ojciec często to powtarzał.

Zadumała się. Twierdził ponadto, że trzeba być skończonym głupcem, by żyć z uprawy ziemi. Bogatym zostaje się wtedy, gdy się z niej wydusi, co się da...

Nagle uzmysłowiła sobie, że ojciec nigdy nie patrzył na wiosenne pole, wsłuchując się w ciszę. O wielu jeszcze innych rzeczach nie miał pojęcia.

— Czemu się uśmiechasz — zapytał Jaryis.

— Przypomniałam sobie tatę. Dla niego istniały tylko miasta. Uważał, że cała reszta, z wyjątkiem szybów naftowych, jest bezużyteczna i niepotrzebna.

— A skąd według niego brało się jedzenie?

— Jak to skąd? Z supermarketu.

— No nie, jak... — zaczął ostro i urwał, spostrzegłszy wesołe ogniki w jej oczach. — Przepraszam! Brak mi poczucia humoru.

— Nie opowiadaj!

— Nie chwytam żartów. Zwykle biorę wszystko do siebie. Nie gniewaj się.

— Dla ciebie to nie jest śmieszne — spytała z powagą.

— Nie. Tutaj nie da się zamknąć oczu na rzeczywistość, a przy niej żarty bledną. To tyle. Chodźmy, czas na nas. Muszę jeszcze zobaczyć się z kilkoma ludźmi.

— Będę ci przeszkadzać?

— Jeśli powiem, że tak, wrócisz do zamku?

— Jasne, że nie. Jedźmy.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Jednak Jaryis nie ruszył do przodu, tylko zawrócił.

— Przecież miałeś się z kimś zobaczyć — przypomniała.

— To może poczekać.

— Boisz się, że dowiem się za dużo?

— To już się stało. Nie prosiłem, żebyś ze mną jechała, ale oczywiście musiałaś postawić na swoim, jak nie przymierzając...

W miasteczku zatrzymali się przy przydrożnym barze w masywnym budynku zbudowanym z pociemniałego ze starości drewna. Jaryis zamówił piwo, Meryl stanowczo prosiła o to samo. Gdy siedli, ironicznie przyglądał się, jak opróżnia kufel.

— Dobrze — oceniła z przekonaniem — Nie patrz tak na mnie. To tata nauczył mnie pić piwo.

— Piwo — oburzył się. — To nie jest jakieś tam piwo, ale najlepszy bitter w okolicy.

— Wyślę trochę tego specjału do domu. Zrobi wrażenie.

— Do domu — powtórzył. — Twój dom jest tysiące kilometrów stąd. Wracaj tam, Meryl. Zabierz piwo, zabierz, co tylko chcesz i co uda ci się kupić. Ale wróć tam, gdzie jest twoje miejsce.

— Czekałem na ciebie, ale w końcu straciłem nadzieję...

Zaaferowany mężczyzna w średnim wieku podał rękę Jarvisowi.

— Przepraszam, wybacz mi. Andrew, to jest...

Było oczywiste, że Andrew Caryer doskonale wiedział, kim jest piękna towarzyszka lorda. Przywitał się wylewnie.

— Mam tylko kilka spraw... — zagał szybko.

— To nie jest dobry moment.. — przerwał mu Jaryis.

— Dziesięć minut, nie dłużej. Obiecałem Batesowi, że dziś dostanie odpowiedź. Chodzi o gwarancje dla banku. Wiem, ustaliliśmy, że to na trzy miesiące, byle stanął na nogi...

— Przyniosę coś do picia. — Meryl z ociąganiem podniosła się z miejsca.

Chętnie by posłuchała dalszej części rozmowy, lecz widziała, że Jaryis wprost się wił. Kolejny kłopot, jaki na niego spada. A ona mogła tylko stać i patrzeć, jak pętla się za ciska.

Postawiła przed adwokatem napój, sama odeszła. Pub leżał na szczycie niewielkiego zbocza. Zatrzymała się przy barierce i zapatrzyła na ciągnące się w dole, prześwietlone słońcem zielone doliny nakrapiane białymi plamkami pasących się owiec.

— To jest moje miejsce na ziemi — usłyszała swój głos. Nonsens! Wystarczy spytać Jaryisa. Pewnie by ją zastrzelił za samo pytanie! Owszem, jest tu pięknie i Meryl chętnie pobędzie w tej okolicy przez jakiś czas, ale wcale nie chce, by to było jej miejsce.

Przypomniała sobie wesołe, życie w Nowym Jorku i jeszcze bardziej rozrywkowym Los Angeles. Przyjęcia, kosztowne ciuchy, szpan, adoratorzy...

Wszystko wydawało się mdłe, dziwnie rozmyte. Zwłaszcza mężczyźni. W ogóle nie mogła ich sobie przypomnieć. Za to przed oczami wciąż miała pochmurną twarz mruka, który wprawdzie bardzo jej potrzebuje, ale nie może się do czekać, kiedy na zawsze zniknie z jego oczu.

— To nie jest moje miejsce na ziemi — powiedziała twardo i zdecydowanie.

Zawsze sama kierowała własnym życiem. No, z wyjątkiem interwencji Larry’ego.

— Już poszedł. — Jaryis stał tuż za nią — Gotowa?

— Poczekaj, dopiję piwo. Tu jest naprawdę pięknie.

— Najpiękniej jest zimą, kiedy spadnie śnieg.

— Bywa też mniej sielsko, jak podczas burzy. Nie chce mi się wierzyć, że minęły zaledwie dwa dni.

— Dwa dni — Zmarszczył czoło. — Tak, masz rację. — A przy okazji, wielkie dzięki.

— Czyżbyś wreszcie przekonał się do mnie? Pozbył uprzedzeń?

— Nie jestem do ciebie uprzedzony, ale cieszę się, że sama próbujesz przemówić sobie do rozumu i podobnie jak ja uważasz, że tu nie jest twoje miejsce.

Znowu to samo, pomyślała z niechęcią. Ruszyli w drogę powrotną.

— Jesteś zadowolony z Caryera?

— Nie bardzo rozumiem...

— Wiem, że wściubiam nos w nie swoje sprawy, ale skoro jesteś w podbramkowej sytuacji, o czym twój adwokat musi doskonale wiedzieć, to czemu stara się cię jeszcze bardziej pogrążyć?

— Prosił tylko o poręczenie dla banku. Na trzy miesiące.

— I liczysz, że wtedy ten Bates odda pieniądze?

Jaryis nie od razu zdobył się na odpowiedź.

— Batesowi ostatnio bardzo źle szło. Sam nie da rady, ktoś musi mu pomóc. Jeśli nie podam mu ręki, zginie.

— Traktujesz ich bardzo po ojcowsku.

— Nie podźwigną się bez pomocy — rzekł z przejęciem. — A poza mną nie mają nikogo, na kogo mogliby liczyć.

— Jeśli ten Bates nie spłaci pożyczki, konsekwencje poniesiesz ty. Nie znam szczegółów, ale sądzę, że zbliżasz się do katastrofy.

— Panno Winters, proszę raz na zawsze sobie zakonotować: nie ożenię się z panią.

Meryl westchnęła ciężko.

— Boże, czyżbym straciła cały wdzięk i urodę?

Po długiej ciszy Jaryis, jakby wbrew sobie, powiedział:

— Sama dobrze wiesz, jak jest.

I znów jechali w ciszy. Meryl tarła sobie uszy, bo owczarki wciąż były spragnione pieścizot. Niebo zasnuło się ciemnymi chmurami.

— Jako to możliwe, by pogoda zmieniała się tak raptownie?

— Gdybyś pobyła tu dłużej, przestałabyś się dziwić. Ten rejon słynie z ciągłych deszczy.

— Czyli rolnicy się cieszą.

— Dla nich to dobrze, ale park rozrywki by splajtował. Och, cło diabła!

W silniku coś zgrzytnęło, a zaraz potem wszystko ucichło. Samochód odmówił jazdy.

— Zostań tu — burknął pod nosem Jaryis i wyskoczył z auta. Meryl zrobiła to samo. Podniósł maskę. — Prosiłem, żebyś została w środku.

— Miałabym stracić okazję, by znowu przemoknąć do suchej nitki? Co się stało?

Jaryis z irytacją machnął w stronę parującego silnika.

— Nie wiem, ale to już kolejny raz. Na szczęście w Little Grands jest warsztat.

— To ze dwa kilometry stąd, prawda?

— Co z tego, skoro samochód nie ruszy.

— Możemy go popchać.

—My?

— Albo będziemy dalej uprzejmie konwersować, albo dopchniemy go do warsztatu.

— Ty chcesz pchać — zapytał z niedowierzaniem.

— Wolisz zaprząć psy — rzuciła zgryźliwie.

Opamiętał się i przestał dyskutować. Stanął z tyłu dzipa, Meryl oparła dłonie z drugiej strony. Auto lekko drgnęło, wreszcie powoli zaczęło się toczyć.

Długo trwało, nim w oddali zamajaczyły zabudowania miasteczka. Oboje padali ze zmęczenia.

— Odpocznijmy — zaproponował Jaryis, oddychając ciężko.

— Wymiękasz? — sapnęła.

— W porządku, mogę być mięczak — Popatrzył na nią ze złością. — Nie każdy ma takie bicepsy jak ty.

Zaczęła się śmiać i krople deszczu wpadły jej do ust. Zakrztusiła się. Nie mogła nabrać powietrza.

— Spokojnie. — Klepnął ją w plecy. Meryl zachwiała się i przywarła do Jaryisa.

— Już dobrze wydusiła — Możemy ruszać.

— Nie musimy — rzekł rażnym tonem, wyciągając rękę i wskazując drogę, po której zbliżał się pojazd. — To Mike, właściciel warsztatu. Ale nam się trafiło!

— Robótka na kilka godzin — oznajmił Mike, gdy dokładniej obejrzał silnik. — Wezwać wam taksówkę?

— Nie, dzięki — odparł Jaryis — Już zaczął się przypyływ.

Ale ty jedź — powiedział do Meryl — Zadzwoń, by Ferdy zabrał cię łódką. Potrząsnęła głową. Zęby jej szczękały.

— Muszę się przebrać w suche rzeczy. Mam je w walizce.

Mike zaprowadził ją do pobliskiej gospody, gdzie Meryl poprosiła o pokój z łazienką. Gorący prysznic i pyszna herbata od pani Helms, właścicielki gospody, postawiły ją na nogi.

Na szczęście walizki okazały się szczelne. Wybrała gruby sweter i spódniczkę w odcieniu zieleni, rozpuściła włosy, by szybciej wyschły. Gdy zeszła na dół, właśnie przybył Jaryis.

Był przemoknięty na wylot. Pani Helms rozwiesiła je go kurtkę przy ogniu oraz podała ręcznik, by wytarł mokrą czuprynę. Gdy skończył, podniósł głowę i spostrzegł Meryl!

— Jak się czujesz — zapytał.

— Świetnie — odparła. Oddała kubek gospodyni. — Dziękuję, uratowała mi pani życie.

Pani Helms zachichotała.

— Jeszcze trochę, a ten deszcz by panią utopił.

— To wszystko przez lorda Larnę'a. Co go zobaczę, od razu jestem kompletnie przemoczona. Coś w tym musi być.

— Sama natura cię ostrzega — mruknął Jaryis.

— Chcesz powiedzieć: „Trzymaj się ode mnie z daleka”. Tak?

— Skoro wiesz, co chcę powiedzieć, to po co pytasz — odparł lżejszym tonem.

— Co z samochodem?

— Będzie gotowy przed następnym odpływem.

— To znaczy kiedy — zapytała nieufnie.

— Odpływ zacznie się o drugiej w nocy. Widząc jej minę, dodał: — Może jednak zamówię ci taksówkę?

— Nie, ale mógłbyś postarać się o coś do jedzenia.

— To ci się należy. Zaraz poprosimy o coś dobrego.

Za pięć minut przynoszę jedzenie — pośpiesznie rzekła pani Helms. —

Usiądźcie sobie przy ogniu.

Zmokłe psy wyciągnęły się przed kominkiem, rozkoszując się ciepłem. Meryl z podziwem przyglądała się dębowym belkom na suficie. Gospoda z pewnością liczyła sobie z kilkaset lat. Pochwyciła sceptyczne spojrzenie Jaryisa. Pewnie znów uznał, że Meryl zachowuje się jak w skansenie. Wolą z zejść mu z oczu, dlatego poszła do kuchni.

Szybko uświadomiła sobie, że wpadła z deszczu pod rynnę. Gospodyni zwracała się do niej z taką atencją, jakby miała przed sobą królewskiego gościa. Widać plotki już tu dotarły. Zabrała tacę z herbatą i wyszła.

Jaryis spał w fotelu przy kominku. Głowa opadła mu na bok.

Wreszcie mogła przyjrzeć mu się bezkarnie. Wydawał się znacznie starszy, niż był w istocie. Za dużo na niego spadło. Bruzdy biegnące do kącików ust, jak na portrecie dziadka, sińce pod oczami. Pewnie zmartwienia nie dają mu spać, domyśliła się. Poczucie odpowiedzialności ciężącej na jego barkach i świadomość własnej bezradności okazały się ponad jego siły.

Nic dziwnego, że jest taki drażliwy. Meryl ogarnęło współczucie. Próbuje się bronić i ratować innych, lecz bez pomocy nie da sobie rady. A nie potrafi się o nią zwrócić.

Hałaśliwie postawiła tacę na stole.

— Jaką pijesz herbatę — zapytała beztroskim tonem.

— Mocną, dwie łyżeczki cukru.

Podawała mu filiżankę, upił łyk i westchnął z niekłamany zadowoleniem.

— Domyślam się, że słyszałaś dzisiejszą rozmowę w bibliotece. Dobrze się ubawiłaś?

— Nie mów tak. Byłam poruszona. Dla tych ludzi to życiowa sprawa.

Spojrzał na nią z uwagą.

Pani Helms wniosła półmisek. Nie odeszła, póki Meryl nie spróbowała i nie oznajmiła, że potrawa jest wspaniała.

— Wiesz, dlaczego jej tak zależało? — zapytał Jaryis, gdy właścicielka wyszła z sali. — Sama widzisz, co się porobiło. Obudziłaś w nich nadzieję.

— Ja to zrobiłam? Chyba żartujesz. Kto rozpuścił plotki? Przecież nie ja.

— Nie, nie ty. — Westchnął. — To robota Hannah. Wydaje jej się, że wszystko jest takie proste.

— Wie swoje, jak reszta. Dostałeś szansę, by ich ocalić. Jeśli z niej nie skorzystasz, nie pojmą twoich motywów.

— Muszę im więc jasno wyłożyć, że takiej szansy nie było. Uznaliśmy, że nie jesteśmy dla siebie i na tym koniec. Sama mówiłaś, że ci się nie podobam.

Hm, nie podoba...

— Myślisz, że w to uwierzą — rzuciła lekko. — Są przekonani, że na widok ich lorda każda kobieta pada z wrażenia i tylko marzy, by za niego wyjść.

— Więc sama możesz im to powiedzieć.

— I jak wtedy byś wypadł w ich oczach? Uważają, że powinieneś zrobić wszystko, żeby mnie oczarować.

Miała rację. Jego ludzie ufają mu, wierzą, że ich uratuje. A sposób jest tylko jeden. Może więc z uwagi na nich po winien się zgodzić na ten układ?

A jednak był to pomysł nie do przyjęcia. Odkąd został lordem, czuł wielką odpowiedzialność za siebie, za rodowy majątek i za swoich ludzi. Dlatego starał się nad wszystkim panować. A przy tej kobiecie było to niezwykle trudne.

— Może powinieneś spróbować — droczyła się. — Zrobić to dla nich. Będzie wstyd, jeśli lord Larne się nie spisze.

— Trochę się zagalopowałaś — prychnął.

Meryl zaśmiała się lekko.

— Wszyscy w kółko mi to powtarzają! — Zamyśliła się.

— Niefortunnie się stało, że przyjechałam tu w czasie burzy. To nasunęło skojarzenia. Wielu uważa, że dzięki mnie stara legenda powtórnie spełnia się po wiekach...

— Tak właśnie się dzieje. — Ciepło bijące od ognia rozluźniło go.

— Kim ona była? Hannah wspominała, że pochodziła z Francji.

— Tak. Marguerite de Vendanne, córka jednego z najbogatszych ludzi w ówczesnej Francji. Jedynaczka. Wniosła ogromny posag, a gdy rok później jej ojciec zmarł, odziedziczyła cały majątek.

— Ocaliła ród, jak napisano w inskrypcji — rzuciła lekko Meryl.

— W tym sensie, w jakim mogą to zrobić pieniądze. Jednak małżeństwo nie było udane. Giles Lanie był przystojnym mężczyzną. Wymógł na Marguericie, by za niego wyszła. Była świetną partią i wielu się o nią starało. To była dzielna dziewczyna. Wiedziała, czego chce. — Uśmiechnął się — Jak ty.

— O mnie mówią, że jestem uparta jak osioł.

— Podejrzewam, że jej ojciec wyrażał się podobnie. Była nie tylko piękna i bogata. Była też czarownicą.

— Nie żartuj! — Meryl roześmiała się.

— Mówię poważnie. Zniknęła bez wieści.

— W czasie ślubu rozwiała się jak dym?

— Nie, mieszkała tu dwa lata, urodziła syna. Nagle przepadła bez śladu. Niektórzy przysięgali, że widzieli ją odlatującą z wieży. Dlatego uznano ją za czarownicę.

Jaryis zadumał się. Oto miał przed sobą piękną czarnowłosą dziewczynę, która nocą wynurzyła się z morza, by rozbudzić marzenia i nadzieje. I która w każdej chwili mogła zniknąć z jego życia.

— Prawda, jak zwykle, jest bardziej prozaiczna. Marguerite znudziła się mężem i zainteresowała jednym z zarządców. Oboje zniknęli. W zamku jest jej portret, pokażę ci. Marguerite ma na nim niezwykle cenny potrójny sznur pereł. Pereł zniknęły wraz z nią i nikt o nich więcej nie słyszał. Pewnie sprzedawali po jednej, by mieć za co żyć. Zabrała też pokojówkę, ale pozostawiła dziecko.

— I więcej ich nie widziano?

— To był piętnasty wiek. Nie było radia i telewizji. Jeśli się miało pieniądze, można było się ukryć. Giles już nie ożenił się po ucieczce żony. Zaczął pić, a pięć lat później zmarł. Majątek przypadł ich synowi.

— Smutna historia. Szkoda tego Gilesa!

— Los obszedł się z nim okrutnie.

— To jest pyszne — zmieniła temat — Te małe ciasteczka korzenne...

— Yorkshire pudding.

— Dla takiego deseru mogłabym wyjść za ciebie.

Jedli, nie śpiesząc się, rozleniwieni ciepłem i spokojem. Na zewnątrz padało, hulał wiatr. Meryl ogarnęła błogość, jakiej dawno nie zaznała.

— Obudź się.

— Co — Otworzyła oczy. — Zasnęłam?

— I to na długo. — Jaryis uśmiechnął się. — Mówiłaś przez sen.

— Co powiedziałam? — Natychmiast się spięła.

— Niewiele zrozumiałem. Coś o przeznaczeniu.

Nie chciała stąd się ruszać. Było jej tak dobrze. Jaryis, jego spojrzenie... Wielu mężczyzn tak na nią patrzyło. W zależności od nastroju droczyła się z nimi, czasem bawiła, nie szczędząc pocałunków, lub odprawiała wyniośle, wiedząc, że następnego dnia znów będą u jej stóp.

Lord Larne jest inny. Dumny jak ona i obdarzony równie silną wolą. Meryl wiedziała, że Jaryis walczył z pokusą. Chciała, by przegrał tę walkę.

— Samochód jest gotowy — usłyszeli panią Helms.

Czar zniknął.

— Pójdę po rzeczy — mruknęła nieprzytomnie Meryl.

Gdy kilka minut później zeszła na dół, Jaryisa nie było. Ubiegł ją i uregulował rachunek. To ponad jego możliwości, przemknęło jej przez myśl. Na szczęście deszcz ustał. Szybko poszła do warsztatu.

— Samochód jest naprawiony — perorował Mike. — Ale to ostatni dzwonek, by pomyśleć o nowym. Jedźcie ostrożnie, dobrze?

Było po północy. Ruszyli. Zza chmur wyszedł księżyc i jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki świat zmienił się nie do poznania. Z wrażenia zapierało dech.

— Chciałam zapłacić... — zaczęła.

— Niepotrzebnie. To moja rola.

— Nie zapraszałeś mnie na wycieczkę, sama się wkręciłam. Dlatego ja powinnam była zapłacić.

— Ale ja tak nie uważam.

— Przecież ty nie masz... — Ugryzła się w język.

— Radzę ci nie kończyć tego zdania — rzucił.

— Nie miałam zamiaru.

— Miałaś. I gdybyś to zrobiła, wyrzuciłbym cię z samochodu. Właśnie dlatego nie chcę mieć z tobą do czynienia.

Jaryis znowu był spięty i pewnie zły, że pozwolił sobie na chwilę słabości.

— Posłuchaj... — zaczęła.

— Temat jest wyczerpany.

— Nie mów tak!

— Powiedziałem: wystarczy.

— Bo tak uznał lord Larne? Człowieku, masz tupet!

Zamiast odpowiedzieć, nacisnął hamulec i posłał jej złowrogie spojrzenie. Zrobiła to, przeraziła się. Ten palant jest gotów ją tutaj wysadzić.

— Chcesz jeszcze coś powiedzieć — zapytał groźnie.

— Tylko jedno. Dostaniesz dobrą nauczkę, jeśli teraz ten gruchot nie ruszy.

Jednak silnik zapalił od razu. A więc i złośnikom los czasami sprzyjał.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

W oddali lśniła gładka tafla morza. Droga na grobli jaśniała jak srebrzysta wstążeczka. Na tle ciemnego nieba majaczyły potężne zarysy zamku. Być może ostatni raz oglądam ten widok, pomyślała Meryl. Szkoda.

Podjechali pod główne wejście. Mimo późnej pory stał tam jakiś samochód.

Hannah wybiegła na powitanie.

— Przyjechał niejaki Blackham — szepnęła konspiracyjnie do Jaryisa, — Czekaj już parę godzin. Mówi, że się nie ruszy, bo ma pilną sprawę.

— Bardzo pilną — z tyłu rozległ się nieprzyjemny głos.

— Obiecałem mojemu klientowi, że nie dam panu uciec.

Z mroku wynurzył się chudy mężczyzna po pięćdziesiątce. Nie robił dobrego wrażenia. Meryl aż się wzdrygnęła na jego widok.

— Nigdzie przed panem nie uciekam, panie Blackham.

— Czyżby? A te dokumenty — Pomachał papierami. — Mój klient domaga się pieniędzy. I coraz bardziej się nie cierpliwi.

Meryl wycofała się w cień. Pewnie Jaryis zgrzyta zębami, że stała się świadkiem tej sceny.

— Pański klient i ja zawarliśmy umowę...

— Mój klient zmienił zdanie - prychnął Blackham — Chce odzyskać pieniądze. Inaczej podejmie działania.

— Dobrze pan wie, że nie wytrąsnę takiej sumy z rękawa — wybuchnął Jaryis

— Myśli pan, że nie wiem, o co naprawdę chodzi? Te „określone prawem działania” oznaczają dla mnie bankructwo.

— Nie mam z tym nic wspólnego...

— Akurat! Pański klient tylko czeka, by mnie wykończyć i za bezcen wykupić Larne. Nie dla siebie. Niech pan ma odwagę powiedzieć mi to w oczy!

Konsorcjum od dawna ostrzy sobie zęby, a potencjalni właściciele już zacierają ręce z radości...

Do Meryl, która stała przy drzwiach, przysunęła się bezszelestnie Hannah.

— Dzwonił pan Steen. Prosił przekazać wiadomość: „Larry już wie. Wszedł na wojenną ścieżkę”.

— Kiedy to było?

— Parę godzin temu.

— Czyli już jest w drodze — przeraziła się.

Nadszedł czas, by podjąć ostateczną decyzję. Zabawa się skończyła. Zresztą dla Jaryisa ani przez moment nie była to zabawa. Ziemia usuwała mu się spod nóg. I tylko Meryl mogła to powstrzymać. Teraz. Bo za dziesięć minut będzie po wszystkim.

Energicznym krokiem podeszła do Blackhama i wyjęła mu z ręki papiery. Zaśmiała się szyderczo, demonstracyjnie okazując znudzenie i niesmak. Jakże trywialna to sytuacja dla kogoś z wielkiego świata!

— Ile — zapytała, obrzucając wzrokiem dokument. — Tylko tyle? Śmieszna suma.

— Jeśli dla pani dwadzieścia tysięcy to śmieszna suma...— warknął Blackham.

— Drogi panie — oświadczyła Meryl, patrząc na niego wyniośle — nie wiem jak dla pana, ale dla mnie to drobiazg. Doprawdy.

Wiedziała, że takie zachowanie ostatecznie przekreślało ją w oczach Jaryisa. Ale musiała grać. Skończyły się zabawne podchody, fochy i szermierka słowna, nastał czas działania. Trzeba pokazać, kto dyktuje warunki.

— Słyszałem o pani — powiedział Blackham.

— W takim razie wie pan, że tyle wydaję na sukienkę.

— Wyjęła książeczkę czekowa i wypisała czek — Proszę.

I niech się pan stąd zabiera, bo pana obecność mnie męczy.

Nie poddał się od razu.

— Nie mogę wziąć czeku. Może być bez pokrycia.

— Słucham— Zdumienie w jej głosie walczyło o lepsze z pogardą. — Dobrze, skoro woli pan przekaz, zaraz zadzwonię do dyrektora tutejszego oddziału.

— I wyciągnie go pani z łóżka — Blackham skrzywił się z jawną ironią. Tak jest z panią zaprzyjaźniony?

— Po prostu wykonuje swoje obowiązki — stwierdziła chłodno.

Władczy i pewny siebie sposób bycia Meryl kompletnie zbił z tropu adwokata.

— No dobrze — złapał czek i ruszył do wyjścia, nagle jednak zatrzymał się i zmierzył ich zjadliwym spojrzeniem.

— W najbliższych dniach zjawi się tu wielu takich jak ja — rzekł złośliwie. — Oby plotka o ślubie nie okazała się tylko plotką...

Meryl kątem oka spostrzegła, że Jaryis zaciska pięści. Panował nad sobą resztką sił.

Kiedy drzwi się zamknęły, popatrzył na Meryl z niesmakiem, czy nawet wstrętem.

— Dziękuję — rzekł z przymusem.

— Przeze mnie znalazłeś się na krawędzi katastrofy, dlatego musiałam coś zrobić.

— Jak to przez ciebie?

— Sam powiedziałaś, że wielu ma chrapkę na zamek i majątek. Dlatego próbują cię pognać. Myślisz, że dlaczego tak nagle zależy im na odzyskaniu pieniędzy?

— Bo dowiedzieli się o tobie — Pokiwał głową.

— Właśnie. Boją się, że twoja sytuacja się zmieni i obejdą się smakiem, więc zaczął się wyścig szakali. Gdyby dziś skończyło się inaczej, byłaby to moja wina, Teraz już muszę za ciebie wyjść, czy tego chcę, czy nie.

- Nie musisz ujmować tego tak dramatycznie — prychnął zniecierpliwiony.

— Lepiej zgódź się, nim pojawi się następny wierzyciel. To dobra rada.

— Zwrócę ci wszystko co do grosza — rzucił zapalczywie.

— Z czego? Zapewnię ci takie środki, byś mógł utrzymać zamek i podźwignąć gospodarke. A ja dzięki tobie dostanę to, na czym mi zależy.

— Czyli Benedicta Steena. — Roześmiał się ironicznie.

— Wolność. Niezależność — Z bijącym sercem czekała na jego reakcję.

— Wychodzi na to, że nie mam wyboru — powiedział wreszcie.

Był jednak wściekły! Nie mógł pogodzić się z faktem, że został postawiony pod ścianą. Że Meryl swoimi pieniędzmi uratowała jego rodowe dziedzictwo.

Pewnie ją znienawidził.

— Miewałam bardziej płomienne oświadczenia — podsumowała cierpko.

— Zaproponowałaś interes, ja to przyjąłem. Po ślubie uzyskasz pełną władzę nad swoim majątkiem, a wniesiony przez ciebie posag zmieni finansową kondycję majątku Larne Wrócisz do Nowego Jorku, do swojego życia.

— To jeszcze trzeba przemyśleć. Nie wyszłoby ci na dobre, gdybym zabrała się stąd zaraz po ślubie.

— Nie rozumiem.

— Jak to by wyglądało? — Uśmiechnęła się przewrotnie. — Lord Larne, pan życia i śmierci swoich poddanych, spadkobierca rycerskich tradycji, a nie potrafi utrzymać przy sobie świeżo poślubionej żony? Do końca życia byś nie zaznał spokoju. Zresztą dobrze, podam ci bardziej racjonalny powód. Jeśli wyjadę stąd od razu, Larry natychmiast to wykorzysta, by wystąpić o anulowanie ślubu. Po za tym muszę być na miejscu, by dopilnować formalnych działań.

— Ale potem wyjedziesz?

— Jeśli nadal będziesz nalegał. Być może zmienisz zdanie, zobaczymy...

— Nie rób sobie nadziei. Godzę się na ślub, bo traktuję to jak spełnienie mojej powinności. Nic więcej.

— Jaki z ciebie romantyk — mruknęła.

Żachnął się. Dopiero teraz uzmysłowił sobie, że zachowuje się jak gbur. Tak mało brakowało, by doszło do katastrofy, a ocalenie zawdzięcza Meryl...

— Wiesz, chciałem... — zaczął, zmuszając się do uśmiechu, bez większego zresztą powodzenia.

— Mogłabym skorzystać z telefonu? Nie jestem pewna, czy moja komórka będzie działać przez Atlantyk.

— Masz telefon w pokoju, przy oknie, zaraz za zasłoną.

— Dzięki. W takim razie dobranoc.

— Dobranoc.

Był przekonany, że po takim dniu natychmiast uśnie kamiennym snem, lecz wzburzenie i wspomnienia dzisiejszych przeżyć nie dały mu zmrużyć oka. Wreszcie wstał i włożył szlafrok. Wiedział, że tylko jedna osoba mogłaby pojąć stan jego duszy.

Ruszył korytarzem. Pod drzwiami Meryl jaśniał pasek światła. Już miał zastukać, gdy nagle usłyszał jej głos.

— Czyli sprawa jest dogadana — mówiła — Dostaniesz pieniądze, jak tylko to będzie możliwe. Kiedy przyjedziesz?

— Dobiegł go cichy śmiech. Przy nim nigdy tak się nie śmiała. — Nie mogę się doczekać, kiedy cię zobaczę. Och, Bennie, tyle przed nami!

Jaryis na palcach poszedł do siebie.

Nazajutrz Meryl skoro świt zerwała się z łóżka. Po rozmowie z Benedictem wiedziała, że Larry nie pojawi się w zamku wcześniej niż popołudniu. Powinna zdążyć. Seth odtransportował ją na brzeg.

— Wrócę sama — zastrzegła na pożegnanie — Poczekam, aż będzie odpływ.

Tak też zrobiła. W porze odpływu na grobli zamajaczył masywny terenowy wóz z napędem na cztery koła, najlepszy w swojej klasie. Nic dziwnego, że mieszkańcy zamku zgromadzili się przy oknie. Jaryis nie mógł oderwać wzroku od potężniejszego z każdą chwilą auta. Na samą myśl, ile to cudo mogło kosztować, robiło mu się słabo.

— Lepiej się tu nada niż to moje poprzednie autko — odezwała się Meryl zeskakując na ziemię — Ma dużą moc i jest ciężki. Nawet przyptyw nie będzie dla niego przeszkodą.

— Doskonały wybór — z powagą potwierdził Jaryis.

— Byłbyś tak miły, by przejrzeć umowę? - Podała mu papiery i weszła do środka. Jariys podążył za nią. Szedł coraz wolniej Minęła chwila, nim dołączył do czekającej w bibliotece Meryl.

— Ta umowa... ona jest na mnie — powiedział niepewnie.

— Tak miało być. — Podniosła na niego wzrok. Jariys stał jak zamurowany — Nie patrz tak. Zaszufładowałaś mnie jako prostytutkę, która obnosi się ze swoimi pieniędzmi, a rozumu ma za grosz. — Wcisnęła mu w dłoń kluczyki.

— No to chciałam udowodnić, że się nie mylisz.

Poczerwieniał. Wprawdzie nigdy nie powiedział jej te go wprost, lecz takie myśli nie były mu obce. Popatrzył Meryl w oczy i nagle dostrzegł w nich coś, co go za skoczyło. Jakby lękała się, że ją odrzuci. Ta pewna siebie, obcesowa Jankeska kryła w sobie wrażliwość, jakiej się nie spodziewał.

— Nie opowiadaj bzdur — zaczął drżącym głosem — Nigdy nie... To rewelacyjny samochód. Wymarzony na tutejsze warunki. Kiedy wybiorę się nim na objazd posiadłości... to znaczy, kiedy my...

— Tak lepiej — Uśmiechnęła się. — Potraktuj to jako prezent ślubny ode mnie. Ujął jej dłoń.

— Skoro tak... dziękuję. Nie mogłaś lepiej trafić.

Z niedowierzaniem patrzył na rumieniec, jaki zaróżowił buzię Meryl. Jest tak bogata, że z nikim i niczym nie musi się liczyć, a zależy jej na tym, co on sobie myśli?

Stropił się. Wczoraj był pewien, że rozpoczęła się katastrofa, lecz Meryl uratowała i jego, i Larne. Był jej za to głęboko wdzięczny, choć nie potrafił tego wyrazić. W takich momentach zawsze brakowało mu słów. Nie był w stanie odwdzińczyć się jej, pocieszał się jedynie tym, że usuwa z jej drogi przeszkodę dzielącą ją od ukochanego. Natychmiast zadzwoniła do Benedicta, by podzielić

się radosną wiadomością o ślubie. Z nim szeptała o wspólnych planach na przyszłość.

No i dobrze. Tym lepiej.

— Może wybierzemy się na inauguracyjną przejażdżkę?

— Chętnie, ale raczej nie teraz. Wolę być na miejscu, gdy przyjedzie Larry. Sprawuje kuratelę nad moim majątkiem. Szykuje się zabawa.

— Myślisz, że zmieni się w stosunku do ciebie, kiedy wyjdiesz za mnie? Rzeczywiście jest taki poruszony?

— Nie mam pojęcia. Nie rozmawiałam z nim. Liczyłam, że da mi więcej czasu, ale chyba go trafiło. Wpadł do Benedicta i tak go przydusił, że biedak wyśpiewał wszystko. Larry od razu pognął na lotnisko.

— Czyli Benedict wiedział, że pojechałaś do Anglii?

Meryl zachichotała.

— Sam odwiózł mnie na lotnisko. Prawdę mówiąc, to był jego pomysł z tym ogłoszeniem. — Nie zauważyła, że Jaryis zacisnął usta. — Och, ten Larry! — westchnęła. — Dlaczego jest taki natrętny? Po co tu przyjeżdża? Trudno, jakoś to będzie. W razie czego będziesz moją tarczą.

— Co takiego?

Popatrzyła na niego z miną niewiniątka.

— Jako przyszły mąż musisz mnie bronić.

— Chciałbym ujrzeć takiego, z którym byś sobie nie po radziła. I to jedną ręką — dokończył z emfazą.

— Ciebie to również dotyczy?

— Jeśli sądzisz, że twoje pieniądze mnie...

— Nie mówimy teraz o moich pieniądzach, o czym pan dobrze wie, wasza lordowska mość.

— Zawarliśmy układ korzystny dla obu stron — rzekł. — Co nie znaczy, że dałem się pokonać. Nigdy do tego nie dojdzie.

Roześmiała mu się prosto w twarz.

— Założymy się?

— Nie zakładam się, jeśli sprawa jest oczywista.

— Zależy, jak na to patrzeć.

— Darujmy sobie dyskusję. I tak wiesz swoje.

— Tak jak i ty. Ciekawe, czyje będzie na wierzchu.

— Nasze małżeństwo potrwa zbyt krótko, by dało się to stwierdzić — odparł. Czuł na twarzy jej ciepły oddech. To było jak magia. Wziął się w garść. — I skończmy już te gierki, panno Winters.

— Skoro mamy się pobrać, to może mówmy sobie po imieniu?

Jak zafascynowany patrzył na jej twarz, ogniki migoczące w oczach.

Czarodziejka! Podniósł rękę, by odgarnąć jej z czoła pasemko włosów...

Opamiętał się w ostatniej chwili. Jak mógł tak dać się opętać?

— Niech będzie, Mery! — rzekł.

— Zabrzmiało to jeszcze bardziej oficjalnie niż „panno Winters” — zauważyła zgryźliwie.

— W interesach zawsze jestem bardzo oficjalny. Przekonałem się, że na tym najlepiej się wychodzi.

Nie miał zamiaru kończyć uśmiechem tej wypowiedzi, lecz promienna twarz Merył wybiła go z rytmu. Uśmiechnął się szeroko. Powagę zachowa na inny raz.

Od progu rozległ się hałas. Oboje odwrócili głowy. W drzwiach stała Sarah. Jej mina nie wróżyła nic dobrego.

— Zobaczmy się później — cicho rzekła Meryl i pośpiesznie wymknęła się na korytarz.

Sarah podeszła do Jaryisa i popatrzyła na niego surowo.

— Powiedz, że to nieprawda. Nie wierzę, że się zgodziłeś. Starał się nie pokazać po sobie zmieszania. Sarah chciała jak najlepiej, ale życie jest, jakie jest.

— Czy to znaczy, że wszyscy już wiedzą? — zapytał — Powiedz, czy mam inne wyjście? Mogę również ogłosić bankructwo, co oznacza koniec nie tylko dla mnie, lecz dla wszystkich. Pojawiła się szansa, by tak się nie stało. Trzeba z niej skorzystać.

— Ale za jaką cenę...

— To będzie małżeństwo na papierze. Każde z nas dostanie to, na czym mu zależy. Gdy emocje opadną i sprawa przycichnie, po cichu załatwimy rozwód i więcej się nie zobaczymy.

— Ona ci to tak przedstawiła, prawda?

— Sarah, o co ci chodzi? Meryl nie widzi we mnie mężczyzny, nie interesuję jej...

Przypomniał sobie jej figlarny uśmiezek, gdy proponowała zakład. Odepchnął to wspomnienie.

— Może nie interesujesz jej na dłuższą metę, ale dobrze wiem, jaka ona jest.

Wystarczyło popatrzeć na jej wejście. Pewna siebie, bez śladu wahania.

Przekonana o sile swoich pieniędzy...

— To nie jest do końca tak — odparł, zapomniawszy, że sam jeszcze niedawno tak myślał.

— Jaryis, przejrzyj wreszcie na oczy. Dla tej dziewczyny liczy się jedynie to, czego sama chce. Każdy musi spełniać jej zachcianki. Przypomnij sobie, w jaki sposób tu przyjechała. Bez uprzedzenia, nie zastanawiając się, czy może jej przyjazd komuś nie będzie na rękę. Nie mówiąc już o ryzyku.

— To prawda — przyznał — Ona niczego się nie boi. Tam tej nocy prawie utonęła. To dla każdego byłoby ciężkie przeżycie. Wylądowała w nieznanym miejscu, sama, bez ubrania, a traktowała mnie tak, jakby stała za nią armia gotowa na rozkazy.

— Jak to bez ubrania?

Już miał na końcu języka opowieść o scenie przed kominkiem, jednak się opamiętał. Sarah niespecjalnie by to rozbawiło...

— Była przemoczona, musiała przebrać się w pożyczone rzeczy — powiedział wymijająco — Sarah, rozchmurz się i ciesz się, że moje problemy wreszcie się skończą.

— Twoje problemy dopiero się zaczną. Szkoda, że tego nie widzisz. Myślisz, że ona da ci spokój i zaraz stąd zniknie? Nie od razu, bo najpierw zrobi z ciebie posłusznego pieska.

— To się nigdy nie stanie. I ona dobrze o tym wie.

— Ale się z tym najwyraźniej nie godzi. Nie spocznie, póki nie podporządkuje sobie każdego, na kogo zagięła parol. Nie widzisz tego? Kupi cię i sprzeda. Wtedy będzie zadowolona.

Jaryis spochmurniał.

— Jeśli sądzisz, że do tego dopuszczę, to przykro mi, że mnie tak nisko cenisz.

— Ujął ją za ramiona. — Sarah, nie martw się. Więcej wiary. Wiem, do czego zmierzam.

— Oczywiście — Uśmiechnęła się z przymusem. — Niech drżą najeźdźcy.

— Tak, właśnie tak. Sarah, zawsze będziemy przyjaciółmi. Wiem, że mogę na ciebie liczyć.

— Teraz i zawsze.

Uściskał ją serdecznie, po bratersku. Nie zdawał sobie sprawy, że dla niej może to znaczyć coś więcej. Podobnie jak nie zauważył przechodzącej korytarzem Meryl, która pośpiesznie odwróciła oczy. Za to Sarah widziała wszystko.

Larry zjawił się dwie godziny później. Miał twarz jak chmura gradowa.

— Powinienem się tego spodziewać! — wybuchnął od progu.

— Jasne — potwierdziła Meryl — Przecież mnie znasz.

- Dlatego straciłem nadzieję, że się zmienisz. Zagroziłaś, że znajdziesz łowcę posagów i dotrzymałaś słowa.

— Larry — zaczęła ostrzegawczo.

— Dobry wieczór — zagadnął Jaryis, schodząc po schodach. — Nie mieliśmy okazji się poznać. Jestem Jaryis Larne.

- Więc to pan! Powiem tylko, że powinien się pan wstydzić! Przyzwoity człowiek nigdy by nie napisał takiego listu, nigdy też...

— Jaryis nie miał z tym nic wspólnego — pośpiesznie wtrąciła Meryl — Napisał go jego przyjaciel. Jaryis o niczym nie wiedział. Gdy się tu zjawiłam, chciał mnie wyrzucić. Do całej sprawy ma podobny stosunek jak ty.

Larry prychnął z niedowierzaniem. Meryl ledwie się odważyła zerknąć na Jaryisa, lecz ten, ku jej zdumieniu, uśmiechał się. W drodze do biblioteki wyszeptał:

— Kiedy mam go poprosić o twoją rękę?

— Nawet nie próbuj, jeśli ci życie miłe. Jaryis, przepraszam cię, że...

— Nie przepraszaj. W szybkim tempie staję się gruboskórny. Zaczyna mnie to bawić.

Larry dał się namówić, by usiąść i skosztować sherry. Za to z miejsca odrzucił zaproszenie na kolację.

— Mam tylko godzinę, żeby zdążyć na samolot — wyjaśnił.

— Przejechałeś taki szmat świata, więc nie możesz od razu wracać —
zaoponowała Mery!.

— Godzina w zupełności mi wystarczy. — Wbił wzrok w Jaryisa. — Czy pan nie ma żadnego poczucia wstydu?

— Żadnego — potwierdził chłodno.

— Nie przeszkadza panu to, że wykorzystuje pan bezbronną kobietę?

— Nie wykorzystuję bezbronnych kobiet. Mówimy o Meryl.

— I uważa pan, że Meryi jest zrównoważoną i trzeźwo myślącą osobą, zdolną decydować o sobie — naciskał.

— Nie. Według mnie ma ptasi mózdek, działa bez za stanowienia, pod wpływem impulsu, idiotycznie. Należało by ją zamknąć. Jednak dopnie swego i ani ja, ani pan nie jesteśmy w stanie temu zapobiec.

— Pan może to zrobić!

— Za późno — rzeczowo odparł Jaryis — Już jestem jej winny pieniądze.

— Co takiego?

— Żenię się dla pieniędzy, więc to zupełnie naturalne i rozsądne, by uszczknąć jak najwięcej, nim narzeczona się rozmyśli. Policzymy..., wczoraj wieczorem dwadzieścia tysięcy funtów, czyli przeliczając po obecnym kursie...

— Może pan sobie darować, znam kurs — zagrzemiał Lawrence Riyers.

— Do tego trzeba dodać cenę samochodu. Jak się panu podoba prezent ślubny od Meryl? Stoi przed zamkiem.

- Szybko się pan dorwał do koryta — wycedził Larry.

— Tak miało być, drogi panie. Mam nadzieję, że posag mnie nie rozczaruje. Angielski tytuł słono kosztuje.

Zapadła głucha cisza. Larry podniósł głowę i zmierzył Jaryisa przeciągłym spojrzeniem. Nagle w oczach bankiera zamigotało coś na kształt szacunku.

— Meryl z pewnością przedstawiła już panu swoją pro pozycję.

— Nie zwykłem omawiać z kobietami spraw finansowych — oświadczył chłodno.

— Och — wykrzyknęła Meryl, lecz Jaryis dyskretnie puścił do niej oko.

Czegoś takiego się po nim nie spodziewała. Tajne porozumienie, wspólna gra... Ciekawe, ciekawe. Teraz trzeba przejść do rzeczy.

— Obawiam się, Larry — zwróciła się do bankiera — że z uwagi na twój stosunek do całej sprawy nie podjąłeś odpowiednich kroków w sprawie mojego ślubu. A to nie może czekać, bo jeszcze mój narzeczony się zniechęci i mnie porzuci.

Jaryis stłumił uśmiech. Bawił się coraz lepiej.

Larry nie posiadał się z oburzenia.

— Jeszcze nikt nie zarzucił mi braku dbałości. Przywiozłem część niezbędnych dokumentów. — Wyjął z teczki papiery. — Nie liczyłem, że dasz się przekonać. Skoro już się zdecydowałaś, przynajmniej zrób wszystko jak należy. To wstępny etap. Resztę przywiozę później, przed ślubem. Zakładam, że zostanę zaproszony.

— Poprowadzisz mnie do ołtarza.

Na jego twarzy odmalowało się przyjemne zaskoczenie.

— Do ołtarza? Czy to znaczy, że będzie ślub kościelny? Nie wystarczy skromna cywilna ceremonia?

— To wykluczone! Lord Larne może wziąć ślub tylko w zamkowej kaplicy, tak jak jego przodkowie.

— Ty chyba postradałaś rozum — wydusił Larry — Biała suknia, druhny, wielkie przyjęcie?!

— Oczywiście. — Spojrzała na Jaryisa — Chyba nie mógłbyś wziąć ślubu w inny sposób?

— Nie, nie mógłbym. Ale pan Larry ma rację. Czy naprawdę zależy ci na takim rozgłosie?

— Na litość boską, niech pan mi nie przytakuje — błagalnie odezwał się Larry

— Bo ta diablica robi wszystko na odwrót! Znam ją od pieluszki i wiem, co mówię. Wcale się nie zdziwię, jeśli uszycie ślubnej sukni zleci temu swojemu piękniowi.

— Piękniowi — zapytał ze zdziwieniem Jaryis.

— Benedictowi Steenowi. To dla niego ta cała szopka.

— Naraz Larry rozpromienił się. — Nie powiedziała panu...- zaczęła z nadzieją.

— Larry, powiedziałam mu, więc sobie odpuść. Jaryis zna moje motywy i nic go nie zaskoczy.

— W takim razie powinien się przebadać. Tak samo jak ty. I ja, bo maczam w tym palce. No cóż, powiadom mnie o dacie ślubu. Przyjadę i ... niech Bóg nade mną czuwa!... poprowadzę cię do ołtarza.

Jaryis odwiózł go na brzeg, gdzie czekała taksówka. Larry nie odzywał się.

Łódka chybotwała na fazach, ale on siedział sztywno wyprostowany.

Wreszcie Jaryis przerwał ciszę.

— Proszę zapomnieć, co wygadywałem. To nie był mój pomysł.

Larry odzyskał mowę.

— Nie musi mi pan tego mówić — wybuchnął. — To jej robota, od razu wiedziałem. Oby tylko ten Benedict okazał się wart zachodu. Meryl musi być w nim szaleńczo zakochana, skoro poszła na coś takiego.

- Powiedziała, że go kocha — ostrożnie zapytał Jaryis, koncentrując wzrok na łódce.

— Ależ skąd! Mydli mi oczy bzdurnymi historyjkami o jego małżeństwie, ale dobrze wiem, że tylko się tak maskują. Jego małżeństwo się rozsypało, więc podłączył się do Meryi.

— Naprawdę jest taki przystojny?

— Jak amant filmowy. Kobiety jedzą mu z ręki.

— Gdyby Meryl była taka jak inne, nie doszłoby do tej rozmowy — zauważył Jaryis.

Larry rzucił mu przenikliwe spojrzenie.

— Mam nadzieję, że się pan w niej nie zakochał?

— Skądże — prychnął Jaryis. — Jestem chciwym łowcą posagów i żenię się z nią dla pieniędzy. Tak to ustaliliśmy.

Larry spojrzał na niego z życzliwą ironią.

— Tak, oczywiście... Nie ma pan pojęcia, w co się pan ładuje. Kocham Meryl jak córkę, jest moją chrześniaczką, opiekuję się nią od lat... To złota dziewczyna, ale przy tym straszna czarownica. Naprawdę żal mi pana.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Wyjaśnienie, że czuje się zobowiązana, bo omal nie do prowadziła do katastrofy, dało doskonale rezultaty. Jaryis przyjął jej punkt widzenia i ich stosunki stały się mniej napięte. Meryl gratulowała sobie w duchu, że tak ją natchnęło.

Kolejne dni upłynęły bardzo przyjemnie. Jaryis oprowadził ją po całym zamku i dopiero wtedy zdała sobie sprawę z ogromu tej budowli. Cztery wieże wzbijały się w niebo, trzysta pokoi, cztery kondygnacje lochów.

Pokazał też starą żaglówkę schowaną w szopie.

— Tylko nie kupuj nowej. To zasłużona łódka, pływałem nią, jak byłem małym chłopakiem.

— Zgoda, ale pod warunkiem, że zabierzesz mnie na wycieczkę po swoich włościach.

— Słowo lorda.

Jaryis potrafił być ujmujący. Uśmiechał się, cieszył się życiem. No cóż, kamień spadł mu z serca. Meryl też czuła się świetnie. Ogarnął ją błogi spokój. Co z tego wyniknie? Może już dziś się okaże?

Jednak jej nadzieje rozwiały się, gdy czyste niebo za ciągnęło się chmurami i zaczął padać deszcz.

— Mówiłem, że tu ciągle pada — Jaryis otulił ją sztormiakiem — Szybko się tym znudzisz.

Takie uwagi sprowadzały ją na ziemię. Jaryis tylko czeka, by się jej pozbyć...

Lecz objazd majątku oczarował Mery!. Ludzie witali ją serdecznie nie tylko dlatego, że swoją osobą zapowiadała odmianę losu. Zjednała ich otwartością i

życzliwością. Gdy pastor poprosił, by została honorowym gościem dorocznego festynu, przystała bez wahania i zapisała datę na ręce.

— I co im powiem, jak wyjedziesz — zapytał Jaryis w drodze powrotnej.

— Oświadczysz, że nie spełniłam pokładanych oczekiwań i na moje miejsce wzięłaś Sarah — odparła beztrąsko.

— Czy ty potrafisz być poważna?

— Po co? Nie masz wrażenia, że zaraz ktoś przebije ten balon i spadniesz na ziemię?

No cóż, tak właśnie się czułam.

Deszcz ustał tak nieoczekiwanie, jak się zaczął. Zza chmur wyrzało blade słońce. Zatrzymali się w Little Grands na piwo. Przyjemnie było usiąść przy drewnianym stole i wystawić twarz do słońca. Jaryis ukradkiem przyglądał się uśmiechniętej Meryl. Wydawała się tak bardzo na miejscu, jakby była dziewczyną z tych stron. Otrząsnął się. Sama przyznała, że to tylko gra. A już był gotów zapytać, skąd w niej tyle radości.

— Co tam widzisz — zapytał, gdy Meryl zaczęła przyglądać się czemuś z napięciem.

— Ten sklepik, zobacz. Widzisz ten sweter?

Popatrzył na sklepik po drugiej stronie ulicy. Sadie sprzedawała tam włóczki, druty i ręcznie dziergane stroje. Na wystawie pysznił się wielobarwny sweter z kilku rodzajów włóczki.

— On jest... Naprawdę...

— Daj spokój — przerwał, uprzedzając słowa krytyki.

— Wiesz, coś takiego rzadko można zobaczyć.

— Na kimś z Nowego Jorku może zrobić wrażenie. Na daje się do muzeum osobliwości... Wiesz, Meryl, tutaj życie jest ciężkie i ludzie nie znają się na modzie. Nie wyśmiewaj się. A było tak miło.

Szturchnęła go łokciem w bok.

— Ależ ty jesteś bez pojęcia! To dzieło prawdziwej artystki. Jest niesamowity! Całkiem zakręcony.

— Meryl, przestań.

— Wiem, wiem. Życie jest ciężkie.

— Właśnie. Tu nikt nie jest zakręcony.

— Ty może nie, ale ten, kto zrobił ten sweter, ma talent.

Bez zastanowienia ruszyła do sklepu. Sadie przyjęła ją z szerokim uśmiechem.

Ja wymyślam projekty — wyjaśniła. — A miejscowe panie dorabiają sobie, robiąc na drutach według moich wskazówek.

— Ile kosztuje ten sweter?

— Ten jest dość drogi... — Sadie zniżyła głos do szeptu.

Meryl zdumiała się, słysząc cenę. W sklepie na Piątej Alei za taki ciuszek przyszłoby jej zapłacić pięćdziesiąt razy więcej!

— Biorę go. Mogłabym zobaczyć inne?

Jaryis z fascynacją patrzył, jak Meryl znowu zapisuje coś na dłoni. Wróciła do niego.

— Zawsze piszesz na ręce — zapytał, gdy ruszyli w drogę powrotną.

— Jasne. Dzięki temu nic mi nie ginie. Jeśli inne swetry też są takie wyjątkowe, widzę ogromne perspektywy. Te kobiety będą mogły zarobić duże pieniądze.

— Meryl, zapomnij o tym. Chcesz dobrze, wiem, ale po co rozbudzać nadzieje, które się nie spełnią?

— Powtarzasz się. Też nie chciałeś robić złudnych nadziei swoim zarządcom. I co? Okazało się, że są realne. Może nie zawsze najlepiej wiesz, co dla kogoś jest dobre...

— Wydaje mi się, że akurat ja doskonale wiem, co jest najlepsze dla moich ludzi.

— Dla twoich ludzi? Traktujesz ich jak swoich poddanych? I nikt, łącznie z nimi samymi, nie powinien się wypowiadać?

— Ciebie byłoby trudno do tego zniechęcić.

— Ty też wiesz swoje — odgryzła się.

— Wysłucham każdego, ale mam własne zdanie.

— Rozmawiamy o modzie — Zirytowana podniosła głos.

— O czym nie masz zielonego pojęcia.

— Mylisz się. Mówimy o moich włościach. I to ty nie masz o tym pojęcia — Złagodził ton. — Nie spierajmy się. Doceniam twoje starania, lecz są granice, których nie chcę przekraczać.

— Granice nieprzekraczalne dla mnie, tak?

— Może. Już dawno się przekonałem, że w biznesie należy z góry dokładnie je wyznaczyć. Wtedy rezultaty są najlepsze.

— Skoro tak... — westchnęła.

W zamku czekał fotograf i dziennikarz. Zapowiedź ślubu angielskiego arystokraty i amerykańskiej milionerki nie mogła nie odbić się szerokim echem. Jaryis najchętniej by się zaszył w zamku, lecz uśmiechnął się szeroko, robiąc dobrą minę.

Na szczęście Mecyl nie miała problemów z udzielaniem wywiadu. Gdy padło pytanie, w jaki sposób poznała lorda - bez mrugnięcia okiem wyjaśniła, że jakiś

impuls natchnął ją do odwiedzenia zamku, gdy była w tych stronach na wakacjach.

— Musimy zrobić zdjęcie, choć jedno — błagalnie poprosił fotograf. — Może przy samochodzie? Niech pan obejmie panią w talii. Trochę mocniej.

Jaryis bez zastanowienia objął Meryl i przyciągnął ku sobie. I dopiero wtedy dotarło do niego, jak szczupłą i wiotką figurę ma Meryl!. I ten oszałamiający, kwiatowy zapach, od którego zakręciło mu się w głowie...

— Popatrzcie sobie w oczy! — zawołał fotograf.

Meryl odwróciła się nieco i położyła dłoń na plecach Jaryisa. Dla niej to nie pierwszozna - wie, jak zaprezentować się do zdjęcia, przemknęło mu przez myśl, lecz widok jej roześmianych, błyszczących oczu sprawił, że w jednej sekundzie zapomniał o zastrzeżeniach. I gdy fotograf zawołał, by pocałował ją do zdjęcia, bez zastanowienia pochylił głowę.

Nie spodziewała się, że do tego dojdzie. Pocałunek oszołomił ją, wytrącił z równowagi. Bała się go i pragnęła jednocześnie. Westchnęła, a Jaryis przygarnął ją mocniej, aż stopniała w jego objęciach.

Przez długą chwilę trwali nieruchomo, nie zauważając, że flesz strzelał bezustannie. Wreszcie zachwycony fotograf oznajmił, że wystarczy.

Wróciła na ziemię. Ale już nic nie było takie samo.

Jaryis uniósł głowę. W oczach Meryl migotało coś, czego dotąd nie widział...

Prośba, błaganie... Gdyby teraz zostali sami...

Nagle zabrzmiało mu w uszach cierpkie stwierdzenie Sarah, że ta kobieta każdego chce rzucić na kolana. Opamiętał się. Uprzejmie pożegnał reporterów. Jakby nic się nie stało... choć stało się wszystko. I już było za późno, by to cofnąć.

— Spotkamy się w zamku — rzekł i nie czekając na odpowiedź, ruszył do środka.

— Będzie ci potrzebny samochód, czy mogę go wziąć — nazajutrz rano zapytała Meryl.

— Nie musisz mnie pytać. To ty go kupiłaś.

— Gdybym zabrała go bez pytania, uznałbyś, że zachowałam się jak prostytutka. Co bym nie zrobiła, zawsze jestem na przegranej pozycji.

Przeciągnął palcami po czuprynie.

— Przepraszam — rzekł szczerze — Sam nie wiem, co się ze mną dzieje. I gdzie się podziały moje maniery.

Czuł, że jest z nim coś nie tak. Odkąd ją pocałował, sam siebie nie poznawał. W dodatku miał świadomość, że zrobił jej przykrość. Okropnie to skomplikowane.

— Jaryis, postaraj się nienawidzić mnie trochę mniej.

— O czym ty mówisz — obruszył się. — To nie tak. Chcesz, żebym z tobą pojechał — dodał, by załagodzić nie zreczność.

— Nie, dzięki, Jadę na lotnisko po Benedicta.

Opuścił wyciągniętą ku niej dłoń.

Gdy wyszła, zatelefonował do adwokata i umówił się na rozmowę. Lepiej się czymś zająć niż rozmyślać o Meryl.

Przyjechali do zamku późnym popołudniem. Larry nie przesadzał. Benedict rzeczywiście wyglądał jak amant filmowy. Gdy zeskakiwał na ziemię, promienie słońca zaśniły w jego jasnych włosach. Wyglądał jak młody bóg. Tworzyli z Meryl wspaniałą parę, gdy objęci i roześmiani szli do głównego wejścia.

Hannah wybiegła na powitanie. Jaryis, który obserwował tę scenę z okna, nie śpieszył się.

Gdy w końcu zszedł na dół, zastał ich w bibliotece. Już na progu zatrzymał się zaskoczony. Podłogę i meble zaścielały olśniewająco białe zwoje kosztownych jedwabi, brokatów i atlasów. Hannah nie odrywała zachwyconych oczu od owiniętej w połyskliwą tkaninę Meryl. Naszyte na materiał drobne kamyki rzucały świetliste blaski i nawet dla nie zorientowanego w modzie Jaryisa było oczywiste, że coś takiego mógłby ujrzeć jedynie w pracowniach najbardziej renomowanych projektantów.

Benedict otworzył czarną skrzyneczkę i wyjął przepiękny, wysadzany brylantami diadem.

- To będzie fantastyczne dopełnienie welonu. Chcę, żebyś wyglądała jak bogini — rzekł z przejęciem — Wyobraź sobie, że idziesz w tym do ołtarza. Jaśnieją brylanty, suknia rozsiewa delikatny blask, welon faluje...

Jaryis zakaszłał dyskretnie. Odwrócili się w jego stronę.

— Przepraszam, coś mnie zatrzymało — rzekł kurtuazyjnie, z lekkim uśmiechem.

Meryl odłożyła strojną tkaninę.

— Jaryis, to mój przyjaciel Benedict. Uszyje mi suknię ślubną.

Jaryis przywitał gościa. Nie przestawał mierzyć go baczym spojrzeniem. Nic mu nie umknęło. Wysoki, niemal równy mu wzrostem, postawny i wyjątkowo przystojny.

Co w nim jest, że Meryl daje mu miliony i godzi się na lipny ślub z innym? Wiele kobiet poleciałoby na jego wygląd, ale...

Ale Meryl jest wyjątkowa. Dla niej nie istnieją przeszkody i niebezpieczeństwa. Jeśli wyznaczy sobie cel, osiągnie go. Omal nie przyplącała życiem

lekkomyślniej eskapady do zamku, a skwitowała to śmiechem. Niesamowita dziewczyna. Zapiski robione na dłoni, w głowie sto pomysłów. Powinna mieć kogoś, kto by ją chronił. Przed Benedictem. I przed nim.

Odczekał, ile wymagała grzeczność, i wymówił się pilnymi zajęciami. Zadzwoił do Ferdy”ego, by ściągnąć go z siostrą na kolację. Nie chciał być z Meryl i Benedictem sam na sam.

Kolację podano w wielkiej sali. Meryl była tu pierwszy raz. Wspaniała kolekcja broni wyeksponowana na kamiennych ścianach, zbroje, na ścianach portrety przodków. Benedict był w siódmym niebie.

— Niesamowite! Właśnie w takim stylu będzie twoja suknia. Już widzę, jak spływasz po tych reprezentacyjnych schodach!

Jaryis popatrzył na Meryl. Miała na sobie kreację Benedicta, trudną do opisanie zielono-niebieską mgiełkę z jedwabnego szyfonu, podkreślającą głębię oczu. Patrzył na nią zauroczony. Tak go to pochłonęło, że Sarah musiała powtórzyć pytanie.

Kolacja upływała w przyjemnej atmosferze, lecz z każdą chwilą Jaryis był coraz bardziej przybity. Nie tak to sobie wyobrażał. Benedict okazał się świetnym facetem. Wesoły i naturalny, z uwagą wysłuchujący innych, czarujący. Nawet surowa Sarah śmiała się jego anegdotek.

Do Meryl zwracał się z żartobliwą kokieterią. Żarliwie całował jej dłoń i nazywał boginią, lecz w jego zachowaniu nie było nic zdrożnego, Nie ma się do czego przyczepić!

Naraz uświadomił sobie, że to przecież Benedict jest jej prawdziwym narzeczonym. Może brać ją w ramiona, może też na przykład...

— Stary, nie przesadzasz — dobiegł go szept.

— Słucham — Pytająco popatrzył na Ferdy”ego.

— Nigdy tyle nie pijesz. Może Seth odwiezie nas na ląd?

— Seth już śpi. Nie masz wyjścia, musisz zaryzykować.

— Chcesz zostawić narzeczoną z innym — zaśmiał się Ferdy.

— Możesz wracać wplaw — groźnie uciął Jaryis.

— Tak czy inaczej pora na nas — zakończył Ferdy.

Odstawienie ich na ląd zabrało dobre pół godziny. Meryl i jej przyjaciel zniknęli. Z pokoju Meryl dobiegały stłumione głosy. Nagle drzwi się otworzyły i na korytarz wyszedł Benedict.

— Rozboliła ją głowa — zwrócił się do Jaryisa. Przeprasza, że nie poczekała na pana.

- Co zrobić. Ma pan ochotę na drinka, panie Steen?

Weszli do pokoju Jaryisa. Jaryis wyjął butelkę i napełnił kieliszki. Usiedli.

— Kto by pomyślał, że tak to się skończy? — zagał Benedict.

— Znajomi Meryl pewnie nie będą zaskoczeni, ale pan jest jej przyjacielem.

Dlaczego pozwolił jej pan na takie ryzyko?

— Ona uwielbia ryzyko, co łatwo zrozumieć. Jeśli się ma takie życie... wszystko ułożone, bez problemów.

Jaryis jeszcze mocniej zacisnął palce na szyjce butelki. Chętnie by udusił tego czarusia!

- Nie pomyślał pan, że powinien się pan bardziej o nią zatroszczyć? — zapytał przez zęby.

— W jakim sensie? Pouczyć, co ma robić, a czego nie? Ona tego nie cierpi.

Zresztą i tak zawsze postawi na swoim.

Już miał zaproponować, gdy uzmysłowił sobie, że Benedict ma rację. Nie miał zamiaru się żenić, a ślub się odbędzie. Tak jak zaplanowała. Dla tego darmożjada, który nie potrafi docenić ani jej poświęcenia, ani jej miłości.

— Skoro przez jakiś czas pan tu pozostanie, może zaprosi pan żonę — zaproponował zjadliwie.

Ożywione oczy Benedicta nagle przygasły.

— Jest pan bardzo uprzejmy — odezwał się bezbarwnym głosem. — Jednak obawiam się, że to niemożliwe.

— Dlaczego? Z przyjemnością będziemy ją tutaj gościć.

— Moja żona stara się o rozwód — rzekł ponuro Benedict. Cierpienie na jego twarzy powiedziało wszystko.— Można jeszcze?— Podsunął kieliszek.

Jaryis nie dał się prosić. Nie skończyło się na jednym.

— Twój przyjaciel zdrowo sobie popił — powiedział Meryl, gdy spotkali się rano — Musiałem odprowadzić go do łóżka.

— Biedak ma słabą głowę. Ale rozmowy przy kieliszku zbliżają ludzi. Mam nadzieję, że teraz świetnie się rozumiecie.

— Jasne — mruknął — Rozumiemy się.

Wiadomość o rychłym ślubie rozeszła się lotem błyskawicy. W zamku wiele się zmieniło. Pod czujnym okiem Hannah armia pracowników uwijała się jak w ukropie. Po usuwano drobne usterki, poważniejsze naprawy pozostawiając do czasu remontu. Powoli zamek zaczął odzyskiwać dawny blask. Jaryis, widząc te zmiany na lepsze, rozluźnił się i z nadzieją patrzył w przyszłość.

Przyszła przesyłka z Nowego Jorku. Jaryis poszedł na górę, by oddać ją Meryl. Drzwi były uchylone, więc wszedł bez pukania. I natychmiast tego pożałował.

Meryl stała przy oknie, ubrana jedynie w skąpą koronkową bieliznę. Przez mgnienie Jaryis wpatrywał się w nią jak ogłuszony. Te cudownie zaokrąglone

kształty, szczupła talia, boskie nogi... Tylko ten pochylony nad nią Benedict, mierzący ją w talii centymetrem. Zagotowało się w nim Z gniewu.

Meryl i Benedict popatrzyli w jego stronę. Wcale nie wyglądali na zakłopotanych. Meryl uśmiechnęła się.

— To już ostatnia miara — powiedziała.

— Chciałbym zamienić słówko, gdy będziesz wolna.

— To może już sobie idź, Bennie — powiedziała.

— Czy nic ci nie grozi — upewnił się, badawczo przyglądając się Jaryisowi.

— Nie wygłupiaj się — odrzekła beztrosko — Idź już.

Benedict nie kazał sobie tego powtarzać. Meryl z ironią popatrzyła na spiętą minę Jaryisa.

— Domyślam się, że nie powinienem się mieszać — rzekł. Że nie ma czym się przejmować.

— Przejmować? Niby czym?

— Pięknie postawione pytanie. Spokojnie przyjmujesz u siebie mężczyzn, nawet będąc naga, tak?

— Nie jestem naga.

— Nie jesteś! Jasne!

— Posłuchaj, Bennie od lat jest moim krawcem. Ciągłe widzi mnie rozebraną, ale to nie ma żadnego znaczenia.

— Wskazała na siebie — Przecież nie jestem naga. To inny układ.

Inny układ! Akurat. Wystarczy popatrzeć na jej falujące piersi okryte jedynie cieniutką koronką...

— Jakoś nie potrafię dostrzec różnicy.

— Benedict nie patrzy na mnie jak na kobietę. Jesteśmy jak brat i siostra. Nie zauważyłeś tego?

Co za bzdury! Przecież wystarczy na nią spojrzeć, by marzyć tylko o jednym. Z dojmującą jasnością ujrzał beznadziejność swojej sytuacji. Dla wszystkich jest szczęściarzem, a w rzeczywistości może popatrzeć na Meryl tylko przez szybkę, wiedząc, że inny ma prawo przychodzić do niej i robić, co chce. Brat i siostra...

— Nie obchodzi mnie, co zrobisz po rozwodzie...

— Nie za szybko? Już zaczynasz odliczać godziny do rozwodu?

— W życiu opłaca się praktyczne podejście. Oboje wiemy, dlaczego się zdecydowałaś. Twoja sprawa, jeśli dałaś się tak ogłupić, że dla niego jesteś gotowa...

— Na Boga — zawołała na wpół oburzona, na wpół rozbawiona. Odwróciła się, lecz Jaryis przytrzymał ją mocno za ramiona.

— Wyjašnjmy to sobie, Meryl. Nie pozwolę robić z siebie głupca. I nie pozwolę, by moi ludzie gadali za plecami, że moja żona jest tak zauroczona innym, że nie panuje nad sobą. Skoro masz zostać lady Larne, to zachowuj się jak lady Lame.

— Tak — Była wściekła. — A jak ona by się zachowała? Nie pozwoliłaby krawcowi podejść do siebie?

— Będąc w takim stroju, nikomu. Z wyjątkiem mnie.

— Z wyjątkiem ciebie — wyszeptała — Z wyjątkiem ciebie. Ciekawe...

Zapomniała o złości. Był tak blisko, że czuła, jak drży. Popatrzyła mu prosto w oczy. Nareszcie! Marzyła, by tak na nią patrzył. Nie trzeba jej słów. Pragnie jej, wbrew sobie, wbrew wszelkim racjom. Jak ona jego.

— Jaryis... powinieneś mnie puścić — powiedziała wolno i z wahaniem.

— Tak — Mówił jak człowiek, który nie bardzo wie, co się z nim dzieje.

Jeszcze mocniej zacisnął palce.

— Tak się zachowuje lord Larne — zapytała szeptem — gdy odwiedza lady Larne?

— On raczej jej nie odwiedza.

— Dopiero po ślubie?

— Wtedy też nie. Jest na to zbyt rozsądny.

— Och, Jaryis, czy ty nigdy nie zapominasz o rozsądku?

— Nigdy — rzekł z goryczą — Dla mnie już na to za późno.

-Nie wierzę

- Niestety, już taki jestem. Nawet ty tego nie zdąsz zmienić. — Puścił ją i delikatnie przesunął palcami po jej policzku; - Zawarliśmy umowę - rzeki cicho.

- Najlepiej będzie, jeśli oboje będziemy się jej trzymać. Bądźmy... rozsądni.

ROZDZIAŁ ÓSMY

W wieczór poprzedzający dzień ślubu wszystkie pokoje przygotowane dla gości były zajęte. Przybyszy zza oceanu było mniej, niż spodziewał się Jaryis.

Większość pokoi została zaanektowana przez znajomych i sąsiadów, którym Meryl chciała oszczędzić kłopotliwego dojazdu na ląd.

Ten miły gest ujął Jaryisa. Zresztą Meryl stale go zaskakiwała. Im dłużej ją znał, tym częściej zdumiewała go dwoistość jej natury. Ciepła i serdeczna, bez trudu zjednała sobie sympatię i przychylność jego ludzi. Lecz bywały chwile, gdy

jawiła mu się jako nieprzenikniona kusicielka laknąca jego zguby. Za nic nie potrafił jej rozgryźć.

Podczas uroczystej kolacji humory wszystkim dopisywały. Nawet Sarah rozkręciła się i szybko znalazła wspólny język z Brendą i Eyerettem Hamlin, którzy hodowali konie na Long Island. Sąsiadem Meryl okazał się Harry, emerytowany profesor uniwersytetu, drobny starszy pan o bystrym spojrzeniu, miłośnik historii. Na temat rodu Larne'ów wie działa więcej niż ktokolwiek inny.

— Mam wrażenie, że nie należy pani do sentymentalnych dam — zauważył po chwili rozmowy.

— Spodziewał się pan ujrzeć we mnie współczesne wcielenie Marguerite? W żadnym razie. Ferdy wprawdzie nalegał, by pieśń o jej przybyciu zza morza została odśpiewana podczas wesela, ale wybiliśmy mu to z głowy. Jaryis aż się wzdraga, słysząc o „córce bogatego człowieka”.

Nic dziwnego. Znając jego charakter...

Mnie to jednak dziwi. Wygląda na to, że angielscy arystokraci często zawierali podobne mariaże..

— Kiedyś to było normą. Jednak Larne'owie zawsze byli dumni, a Jaryis pod tym względem przebija przodków. Gdy miał dziewiętnaście lat, zakochał się bez pamięci. Miała na imię Gina. Śliczna dziewczyna, wesoła trzpiotka. Mallory Larne nie ingerował, póki nie uznał, że sprawy idą za daleko.

— Prawo pierwszej nocy — zażartowała Meryb

Harry roześmiał się.

— Fakt, że większość mieszkańców ma rysy dawnych dziedziców. Ale to stare dzieje i wątpię, by Jaryis kontynuował tę tradycję. Jest zbyt zasadniczy i moralny. Kiedy oznajmił, że ożeni się z Giną, jego ojciec przystąpił do działania i dziewczyna przepadła jak kamień w wodę.

— Coś takiego! Jaryis doszedł, co się z nią stało?

— Dopiero po latach. Zatrzymał się w jakimś pubie, Gina stała za barem. Mallory ją przekupił. Zapłacił, by zniknęła. Kupiła pub, zdążyła mieć trzech mężów i pięcioro dzieci, a może odwrotnie. Wyznała mu, że zaczynał ją męczyć. Nudziło ją jego poważne podejście do życia. To spotkanie bardzo mu pomogło, ale już nie był w stanie się otrząsnąć. Uwierzył, że szczęście nie jest mu pisane, a każdy związek zakończy się porzuceniem. I nie potrafi się z tego wyrwać.

— Zamyślił się — Zwykle za każdym takim dramatem kryją się prozaiczne powody. Jak było z Marguerite? Uznano ją za czarownicę tylko dlatego, że po upojnej nocy z Gilesem zniknęła bez wieści. A ona najpewniej uciekła z zarządcą i żyli z pieniędzy za perły.

Po kolacji goście porozchodzili się po pokojach. Jaryis zdązał do siebie, gdy w korytarzu wpadł na Meryl.

— Mam dla ciebie prezent — powiedziała.

— Przecież już dostałem.

— Auto się nie liczy. Chcę ci dać coś osobistego. Chodź.

Uśmiechnął się, widząc jej przejętą minę.

— Prezent jest nie zapakowany, bo jest duży i bałam się, by go nie uszkodzić. Zamknij oczy. Po chwili usłyszał:

— Teraz otwórz.

Przez chwilę nie mógł wydusić słowa. Patrzył oniemiały.

— Podoba ci się — zapytała niespokojnie.

— Bardzo — odparł z przejęciem.

Nie mógł oderwać oczu od wielkiego, pięknie oprawionego obrazu. Rusty i Jacko jak żywe. Malarz uchwycił je doskonale. Kolory sierści, sposób, w jaki leżały na podłodze, charakterystyczny wyraz oczu.

— Przydusiłam Ferdy’ego, by je namalował. Chyba mu dobrze wyszło.

— Jest świetny — rzekł Jaryis, nie odrywając oczu od obrazu. Zostały uwiecznione na zawsze, teraz, kiedy są w najlepszej formie. To bardzo dobry pomysł. Dziękuję.

— Zanieśmy obraz do ciebie.

Pierwszy raz widziała jego sypialnię. Była lustrzanym odbiciem jej pokoju.

Zainteresowało ją zdjęcie pary w średnim wieku.

— To moi rodzice — wyjaśnił Jaryis.

— Mama wygląda na bardzo miłą osobę.

— Taką ją pamiętam. Zmarła, gdy miałem dziesięć lat.

— Współczuję. Byłeś wtedy przy niej?

— Nie. Uczyłem się w szkole z internatem. Nic mi nie powiedzieli. Dopiero gdy przyjechałem na wakacje. Mama nie żyła już od kilku tygodni.

Zaparło jej dech. Jak mogli! Czyli jeszcze jedna kobieta, która zniknęła z jego życia...

— Miałeś jakąś ciocię, która się tobą zajęła?

— Nie. Wychowywał mnie ojciec.

Po rozmowie z Harrym miała wyrobione zdanie na temat ojca Jaryisa. Surowy, kierujący się własnymi racjami, na rzucający swoją wolę.

— Nie dałem ci dotąd prezentu — powiedział Jaryis. Wyraźnie się wahał — Zastanawiałem się, co mógłbym ci podarować. To nie jest łatwe. Może to by ci się spodobało. Należał do mojej mamy.

Wyjął z szuflady maleńkie pudełeczko i otworzył je. Błysnął pierścionek z niewielkim brylantem. Brylantowy diadem natychmiast go przyćmi. Nic dziwnego, że Jaryis miał opory.

— Chętnie będę nosić pierścionek twojej mamy. — Wyciągnęła dłoń, a on wsunął jej klejnot na palec.

— To nie jest coś, do czego przywykłaś.

— Nie. Ale nie w takim sensie, jak myślisz. Nie jestem przyzwyczajona coś dostawać. Ludzie mają opory, bo przecież na wszystko mnie stać. Więc zostaje z niczym. — Spostrzegła, że skrzywił się nieznacznie — No dobrze, z wyjątkiem pieniędzy. Czyli z niczym — Wyciągnęła rękę — Jeszcze nigdy nikt nie dał mi takiego prezentu.

— Cieszę się, że ci się podoba.

— A ja się cieszę, że tobie podoba się obraz.

— Powieszę go na wprost łóżka. Będę go mieć codziennie przed oczami, jak tylko się obudzę. Idź spać. Jutro długi dzień.

Rozbierając się, miała w uszach jego słowa. Gdyby ich małżeństwo było normalne, to na nią by patrzył po przebudzeniu, a nie na obraz... Meryl zadumała się głęboko. Po raz pierwszy zakochała się bez wzajemności. Widać zawsze musi być ten pierwszy raz.

Tuż za zamkiem stał liczący siedem wieków kościół. Iglica dumnie wzbijała się w niebo. Od rana rozlegał się wokół dźwięk dzwonów. Szesnastu dzwonników na zmianę ciągnęło sznury.

Kościół był przestronny, lecz przybyli goście ledwie się mieścili. Z chóru niosły się delikatne dźwięki organów. Pan miody i jego družba czekali przed ołtarzem,

wpatrzeni w główne wrota, w których lada moment miała pojawić się panna młoda.

Nagle Jaryis z przerażającą jasnością uzmysłowił sobie, co zamierza dziś zrobić. Był jak ogłuszony. Planował złożyć małżeńską przysięgę nie w imię miłości, lecz dla pieniędzy. Zrobi coś, co jest absolutnym zaprzeczeniem tego, w co wierzy i uznaje za swoje. Postąpi jak łotr i oszust. Dla pieniędzy.

Choć nie tylko dlatego. Poza pieniędzmi jest również Meryl. Sposób, w jaki się uśmiecha, jej włosy rozwiane na wietrze, za każdym razem inna, zaskakująca i zdumiewająca. Zawsze piękna...

Czasami jej oczy łagodnieją, głos przybiera inne brzmienie... Gdyby znać zakłęcie i zatrzymać ją taką na zawsze! Takiej by pragnął, takiej mógłby przysięgać. Może jednak jej prawdziwa natura jest inna, wyrachowana i bezwzględna, tak jak ostrzegła go Sarah?

A gdy już owinie go sobie wokół palca, odleci jak czarownica i na zawsze zniknie w ciemnościach. I tylko od czasu do czasu zobaczy jej zdjęcie w kolorowym magazynie, u boku innego.

Jeszcze chwila, a pojawi się na schodach kościoła. Brylantowy diadem, suknia z kosztownej tkaniny. Córka bogacza obejmująca w posiadanie królestwo... póki jej się nie znudzi.

Tłum zafalował, organy zagrzmiały radośnie. Teraz ją zobaczył. Najpierw głowę i ramiona, potem całą postać. Jak by wynurzała się z migoczącego za nią morza. Zatrzymała się na progu.

Nie wierzył własnym oczom. Meryl powoli ruszyła do przodu. Trzymała za ramię Larry'ego. Jaryis bał się, że ta dzika nadzieja, jaka w nim wezbrała, zaraz się rozwieje.

Meryl. Nie córka bogacza, lecz polny kwiat. Dziewczyna z marzeń. Czarne włosy rozwiane wiatrem, spadające niemal do talii, ozdobione białymi

kwiatami. Bez welonu, bez brylantowego diademu. Tylko białe kwiaty na ramionach. I prosta biała suknia z delikatnego materiału spływającego na kamienną podłogę. Sama prostota i wdzięk.

Tuż za nią sześć małych dziewczynek w błękitnych aksamitnych sukieneczkach ozdobionych białymi kwiatkami. Tutejsze dzieci. Jak zdołała to wszystko zaaranżować? Piękniej by sobie nie wymarzył.

Jest niesamowita, nieprzewidywalna. Olśniewająca światowa piękność i cudowna, wrażliwa dziewczyna, której za całą ozdobę wystarczy ten ciepły blask w oczach!

Widziała, że zdumienie odebrało mu mowę, że jest za chwycony. Ujął ją za rękę żarliwie, w ostatniej chwili hamując pokusę, by przygarnąć ją mocno.

Pastor popatrzył z uśmiechem na młodą parę.

— Wyznajcie szczerze, jak w dniu sądu ostatecznego, gdy wszystkie skrywane tajemnice...

Skrywane tajemnice. Teraz uzmysłowiła sobie znaczenie tych słów. Sama przed sobą bała się je wyznać...

— Jeśli istnieją jakieś przeszkody... — dotarli do niej słowa pastora. Czy to przeszkoda, że Jaryis żeni się z nią wbrew własnej woli, nawet gdy ona wie, że to on jest jej wybrankiem?

— Jaryisie Adrianie Michaelu, czy chcesz wziąć sobie...

To dlatego Larry zniechęcał ich do ślubu kościelnego. Larry ma zasady, nie znosi kłamstwa i fałszywych obietnic.

— Kochać ją, szanować i...

Jaki ironiczny podtekst miały te słowa...

— W bogactwie i w biedzie...

Jeszcze i to...

— Tak — Głos Jaryisa zabrzmiał stanowczo.

— Meryl Alicio Jeanne, czy chcesz wziąć sobie za męża tego oto...

Wirowało jej w głowie. Tyle słów, tyle obietnic.

— Na dobre i na złe, aż do śmierci? Jak długo mi pozwoli, pomyślała w duchu.

Tak.

Podawała mu rękę. Uśmiechnął się blado, widząc pierścionek, który jej wczoraj ofiarował. Nałożył jej obrączkę.

Jest tyle pytań, tyle nie rozwiązanych spraw, uświadomiła sobie. Być jedną duszą i jednym ciałem? Skoro on jej nie chce? Ile ma czasu, by to zmienić?

— Teraz możecie się pocałować.

Słowa pastora przywróciły ją do rzeczywistości. Poczowała, że dłonie Jaryisa delikatnie ujmują ją za ramiona. Przyciągnął ją do siebie i pocałował. Ogarnęło ją niewysłowione uczucie szczęścia.

Obawiał się tej chwili, pełnej fałszu i zakłamania, lecz gdy tylko dotknął ust Meryl, zapomniał o wszystkim. Szczęście, jakie go przepełniło, było tak nieoczekiwane, że już nic się nie liczyło.

Uśmiechnęli się do siebie i ruszyli przez kościół. Każdy inaczej odczytywał uśmiech Meryl. Dla Sarah oznaczał triumf, dla innych radość z zaspokojenia kaprysu. Tylko nie wielu, wśród nich Larry, dostrzegło coś więcej.

Przyjęcie było bardzo udane. Nikomu nie umknęło, że Jaryis nie może oderwać oczu od świeżo poślubionej żony. Gdy poprosił ją do pierwszego tańca, wybuchła burza oklasków.

— Wspaniale to zaplanowałaś — wyszeptał.

Oczy mu się śmiały. A jej serce zabiło mocniej. Poślubna noc. Nie rozmawiali na ten temat. Jaryis będzie trzymać się na dystans, ale mu na to nie pozwoli...

Gdy tańczyła z Benedictem, powiedziała:

— Jeszcze raz dzięki za wszystko. Wiem, co przeżyłeś, gdy na trzy dni przed ślubem wymyśliłam tę drugą sukienkę. Dokonałeś cudu.

— Obyś tylko była szczęśliwa — Uśmiechnął się blado.

— Bennie, aż tak źle?

— Przypomniałem sobie mój ślub. Byliśmy tacy szczęśliwi! Co ja mam teraz począć?

— Wszystko się ułoży. Ona cię kocha, wróci do ciebie.

— Nie wierzę. Już na nic nie liczę.

— Pomyśl, że właśnie wkraczasz w świat wielkiej mody.

— A gdy popatrzył na nią bez przekonania, dodała na poły żartobliwie: — Bennie, chyba nie chcesz powiedzieć, że robię to wszystko na darmo?

Wreszcie się uśmiechnął.

— Meryl, do końca życia będę ci wdzięczny za to, co dla mnie...

— Przestań, już to mówiłeś. Do czego zmierzasz?

— Mnie nie zwiedzisz. Jestem tylko przykrywką. Najpierw chodziło o Larry'ego, teraz... masz inny cel.

— To aż tak widoczne?

— Też jestem zakochany.

— Ciii! — Położyła mu palec na ustach.

— Popatrz tylko — powiedziała Sarah, tańcząca z Jaryisem walca. — Zobacz, jak sobie rozkosznie szepczą i żartują. Czy ty nie widzisz, że ona się z ciebie nabija?

— Mam inne zdanie — odparł poważnie — Wydaje mi się, że myliłem się w jej ocenie, bo Meryl...

— Jej właśnie o to chodzi, żebyś tak myślał.

— Daj spokój. Nie mów o niej źle. Nie życzę sobie tego.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Długi dzień zbliżał się ku końcowi. Goście rozeszli się do pokoi, ucichły hałasy. Meryl usiadła i zasłuchała się w ciszę. Panna młoda daremnie czekająca na oblubieńca.

Zawarli układ. Czysty biznes. Nawet jeśli by tego chciał, powstrzyma się. Dzisiejsza ceremonia poruszyła ich, ulegli urokowi chwili. Jednak to minęło...

Rozebrała się i położyła do łóżka. Pełna smutku zgasła lampę.

Przez godzinę przewracała się z boku na bok, ale sen nie przychodził, bo na każdy szelest serce zaczynało bić mocniej.

Pragnie jej, wiedziała o tym. I sama go pragnęła. Ale Jaryis nie przyjdzie. Nie ufa jej, boi się bliskich związków i ryzyka porzucenia.

Zdecydowała się. Zrobi pierwszy krok.

Wyślizgnęła się z łóżka, narzuciła koronkowy szlafroczek i uchyliła drzwi. Przez mgnienie wahała się, jednak przewyciężyła opory. Ruszyła przed siebie. Poruszała się wolno, centymetr po centymetrze. W ciemności nic nie widziała. A może on nie jest u siebie? Albo z miejsca ją odprawi? Ma silną wolę, to ona okazała się słaba.

Naraz z drugiego końca korytarzyka dobiegł jakiś dźwięk. Serce Meryl wezbrało nadzieją. Rozległo się ciche zgrzytnięcie drzwi i znowu zapadła cisza. Bardziej wyczuła, niż usłyszała, że ktoś zbliża się po omacku. Niezdecydowanie. Poczwała ciepło ciała, tchnienie oddechu. I lekki dotyk palców, przesuwających się po jej twarzy i ustach. Wstrząsnął nią dreszcz, serce zatrzepotało w piersi. Dłonie Jaryisa przesunęły się miękko po jej ciele i tak samo nagle się cofnęły. To było ponad jej siły.

Marzyła, by znowu jej dotknął. Wiedziała, że walczył ze sobą, czuła to. Wyciągnęła rękę, musnęła jego twarz.

To było jak iskra. Jaryis przyciągnął Meryl do siebie, przytulił mocno. Wzięła go za rękę i poprowadziła do swojego pokoju.

Chciał coś powiedzieć, lecz uciszyła go, kładąc mu palec na ustach. Przyjdzie czas na słowa. Przytuliła się mocniej, dotknęła ustami jego warg.

Odpowiedział pocałunkiem. Innym niż ten w blasku fleszy, innym niż ten w kościele. Takim, o jakim marzyła.

Ciemność była ich sprzymierzeńcem. Nie widziała go lecz czuła wszystkimi zmysłami. Radośnie, zatracając się w pieszczocie, zachłystując się jego zapachem, ciepłem, bliskością. To jego pragnęła, nie tytułu czy majątku. Jego samego.

Nie liczyła na słowa miłości, lecz czułość i delikatność wystarczyły teraz za wszystko, mówiły więcej niż słowa. Była szczęśliwa, leżąc w jego objęciach, przepelniona unie sieniem, bo wiedziała, że on czuje to samo.

Kiedy się obudziła, w pokoju panował półmrok.

Jaryisa nie było. Zrobiło się jej smutno, lecz nie czuła żalu. Po takiej nocy niczego nie żałowała i była szczęśliwa, bo ujrzała Jaryisa od innej strony, odkryła jego prawdziwą, wspaniałą naturę. Człowieka zdolnego prawdziwie kochać, szczerze, bez lęku. Postara się, by ta druga natura zwyciężyła.

By rano budzili się razem, by stała się jego schronieniem i przystanią. Jeszcze tak będzie.

Gdy goście się rozjechali, Meryl zabrała Benedicta do Lirtie Grands i poznała z Sadie. Bennie był zachwycony jej swetrami. Podpisali wstępną umowę. Zapowiadała się owocna współpraca.

Jaryis o nic nie pytał. Początkowo zamierzała opowiedzieć mu o tych planach, lecz powstrzymała się. Miał tyle zastrzeżeń, więc lepiej poczekać na efekty.

Ferdy zaofiarował się odstawić Benedicta na ląd. Jaryis wziął bagaże, Benedict ostrożnie transportował ślubną suknię.

— Napracowałeś się przy niej. Szkoda, że na darmo.

— Na darmo? To mój majstersztyk. Będzie ozdobą pierwszego wielkiego pokazu.

— Jedź i zabieraj się do roboty — popędziła go Meryl.

— Jest tyle rzeczy do załatwienia, tyle formalności...

— Wiem, wiem. A kiedy będzie trzeba, przylecę na jakiś czas. Wynajmiemy lokal, zatrudnimy pracowników. Nie dam ci spokoju. Do wszystkiego będę się wtrącać.

— Właśnie tego się boję — smętnie rzekł Benedict — Kochanie, ale to będzie krótka wizyta?

— Dość już, ruszamy — zdecydowała Meryl, wskoczyła do łódki i pomachała Jaryisowi — Wrócę wieczorem!

Pomachał jej. Nie wiedział, czy powinien być zły, że Meryl wybiera się do Stanów, czy cieszyć się, że Benedict jej tam nie chce.

W tak krótkim czasie tyle się zmieniło! Jaryis miał rację, gdy kiedyś nazwał ją kwiatem z cieplarni. Żyła, nie zauważając pór roku, bawiąc się w Nowym Jorku i Los Angeles, kupując najmodniejsze ciuszki w Paryżu i Mediolanie.

W Larne czas biegł inaczej, odmierzany odwiecznym rytmem. Każda pora roku miała swoje prawa, swoje smaki i kolory. Zaczął się kwiecień, czas siewu zbóż. Teraz rozstrzyga się przyszłość ludzi żyjących z uprawy ziemi. Jeśli znajdą środki na nawozy, mogą się nie martwić. Jeśli nie, ich los jeszcze się pogorszy.

— Gdybyśmy pobrali się kilka tygodni później, twoim ludziom mogłoby być ciężko — zauważyła Meryl, gdy pod czas konnej przejażdżki zatrzymali się nad strumieniem.

— Byłoby bardzo ciężko — sprostował cicho.

— Dlaczego nie weźmiesz ode mnie więcej? Ten rolnik, który rano pokazywał nam, jak się sadi ziemniaki. Ta jego maszyna już ledwie dyszy. Gdybyś dał mu nie oprocentowaną pożyczkę...

— Teraz na to za późno.

— Do tego zmierzam. Powinieneś ożenić się ze mną wcześniej i zażądać większego posagu. — Dała mu kuksańca. — Widzisz, tak to jest z tymi uparciuchami.

— Nie mam wprawy w ożenkach dla pieniędzy — obruszył się. — Skąd mam wiedzieć, jak to się robi?

— Ty oszuście! A co powiedziałeś Larry’emu? Zarzekałeś się, że jesteś wyrachowany i interesowny. A prawda jest taka, że stawiasz pierwsze kroki.

— Nie zamierzam tego doskonalić.

Podeszła do strumienia i ochlapała twarz wodą. Przyglądał się jej intensywnie. Pięknie jej w tym stroju do konnej jazdy... Długie włosy gładko upięte, a jeszcze tak niedawno zanurzał w nich dłonie, bezładnie, po omacku, nie widząc ich, jedynie czując pod palcami ich dotyk.

Choćby spojrzeniem nie nawiązała do tego, co się stało. Rozmawiali, żartowali i tylko czekali na szept, na jakiś znak.

Ale oboje milczeli.

— Wiesz, musimy to jeszcze raz przemyśleć — Przysiadła na kamieniu — Przeleję znaczną kwotę na twoje konto i będziesz miał z czego udzielać kredytów. Poza tym... — Popatrzyła na niego. Stał ze wzrokiem wbitym gdzieś w dal. Miała już tego dość — Jaryis, może niezręcznie to ujęłam — rzekła z irytacją. — Dobrze, jeśli masz opory, sformułuj to inaczej. Przestaje mnie to bawić. Bez przerwy muszę uważać na każde słowo, by przypadkiem nie nadszarpnąć twojej urażonej dumy.

Opamiętał się natychmiast. Przysiadł obok niej.

— Fatalnie reaguję na twoją hojność, prawda?

— Niestety — Rozgniewana, nie bawiła się w dyplomację i niedopowiedzenia.

Ku zaskoczeniu Meryl, objął ją ramieniem i przygarnął czule.

— Przepraszam, że jestem taki nieokrzesany gbur. Nie potrafię przyjmować, gdy ktoś mi coś daje.

Niewiele w życiu dostawał, przemknęło jej przez myśl. Ogarnęła ją gwałtowna fala czułości.

Milczała jednak. Jaryisowi wiele rzeczy nie przechodziło przez gardło, ona też nie mogła się przemóc. Choć tak bardzo chciała otworzyć przed nim duszę,

powiedzieć, jak wiele się tu nauczyła, jak inaczej patrzy na swoje dotychczasowe życie.

Dopiero tutaj otworzyły się jej oczy. Znalazła cel. Ludzi, którzy jej potrzebowali i przyjęli jak swoją. Odnalazła spokój, ład... Chciała mu o tym powiedzieć. Ale jeszcze nie teraz.

— Zapomnijmy o tym, co powiedziałam, skoro czujesz się urażony — zaproponowała.

— Wykluczone. Nie mogę tego im zrobić, bo... zresztą nieważne. Zrób, jak uważasz, że będzie najlepiej.

Nie posunęli się daleko, ale nie można tracić nadziei.

Podeszli do koni. Jaryis w milczeniu rozważał słowa Meryl. Powinien być jej wdzięczny. Ale sam jeszcze bardziej się pograżał. Znowu go kupiła.

— Kiedy wyjeżdżasz — zapytał niespodziewanie.

— Słucham?

— Mówiłaś, że lecisz do Nowego Jorku, by pomóc Benedictowi.

— Jeszcze nie teraz. Najpierw...

— Może nie warto zwlekać. Muszę wyjechać na spotkanie rolników. Nie będzie mnie parę dni.

— Mogę pojechać z tobą.

— Tylko byś się wynudziła. Poza tym Benedict czeka.

Czyli chce jak najszybciej jej się pozbyć.

— Polecę jutro.

Benedict wyjechał na lotnisko i odwiózł ją do nowojorskiego mieszkania przy Central Parku.

— Znalazłem świetne miejsce. Na Piątej Alei...

— Cieszę się odparła z wymuszonym zainteresowaniem. — Amanda się odezwała?

— Niestety. Dobijam się do niej, ale nie odpowiada na telefony. Wyłączyła komórkę.

Wzruszał ją. Na samo wspomnienie żony ogarniał go bezbrzeżny smutek. Zaprosiła go na drinka. Zadzwoiła do Jaryisa, ale już wyjechał.

Stopniowo wpadała w wir dawnego życia. Nic się nie zmieniło, z wyjątkiem tego, że mogła swobodnie dysponować majątkiem. Jednak było to mniej ekscytujące niż się spodziewała. Przełała sporą sumę na konto męża i ciągle wracała myślą do Larne. Zachody słońca, zielone pola upstrzone białymi plamkami pasących się owiec, wszechogarniający spokój... Ludzie, którzy jej ufali i pokładali w niej nadzieję...

Rozkręcanie firmy Benedicta wciągało, ale po miesiącu była tym znużona. Potrzebowała odmiany. Zadzwoiła do Amandy.

Lubiły się, choć widywały rzadko. Jasnowłosa, delikatna blondynka o wyrazistych oczach była twarda jak skała, mimo że głęboko przeżywała rozstanie.

— Już nie mam do was sił — z rezygnacją podsumowała Meryl — Przecież wy się kochacie!

— Czasami to nie wystarczy — Amanda uśmiechnęła się blado — Można kogoś kochać nad życie, lecz nie sposób z nim być.

— To prawda — szepnęła Meryi.

Umówiły się na następny raz. Meryl wyjęła długopis, by zapisać datę na dłoni.

— Nie mogę na to patrzeć — uśmiechnęła się Amanda.

— Jaryis też nie mógł. Gdy zobaczył to po raz pierwszy...

Urwała, twarz się jej zmieniła. — Który dziś jest? — zapytała słabym głosem.

— Piętnasty. Dlaczego pytasz?

— Jutro jest to majowe święto! Przysięgam, że na pewno będę. O Boże! Po tym wszystkim, co naobiecywałam... To sprawa życia i śmierci! Jedźmy! Po paszport, a potem na lotnisko!

Pośpiesznie się szykowała. Z Jaryisem nie udało się jej skontaktować. Hannah przypuszczała, że wróci na noc do domu.

— Ostatnio rzadko tu bywa — rzekła — Nie wiem czemu. Jest taki skryty.

Ja wiem, pomyślała Meryl z rozpaczą. I nie mogę mieć pretensji.

Wszystko szło jak z kamienia. Samolot był opóźniony, więc mogła nie zdążyć. A jeżeli się spóźni, to tym samym potwierdzi najgorsze przypuszczenia Jaryisa, który nigdy jej nie wybaczy. Oby stało się inaczej!

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

— No i co będzie — westchnęła żona pastora. — Pogoda marna, lady Larne nie przyjechała. A przecież obiecała!

— Zatrzymały ją pilne sprawy rodzinne — uspokajał pastor — Miło, że lord ją zastąpi. Może rzekł konspiracyjnie — przyjedzie z nim szlachetnie urodzona Sarah Ashton?

Jego żona nie okazała należnego zachwytu.

Na zewnątrz tłum gęstniał. Lord Larne rozdawał uśmiechy, lecz widać było, że nie czuje się dobrze w tej roli. Sarah paradowała uczepiona jego ramienia z miną

osoby, której chwila właśnie nadeszła. Ferdy obserwował jej grę z ironicznym uśmiechem.

Pastor westchnął, spoglądając na ciemne chmury.

— Liczysz, że ona spadnie z nieba — prychnęła jego żona.

— Raczej nie. No cóż, pora zaczynać.

Wszedł na podwyższenie i uśmiechnął się. Lord, stojący obok, też przybrał wesołą minę, choć czuł się fatalnie. Aż do tej chwili rozpaczliwie trzymał się resztek nadziei. Nie mógł pogodzić się ze świadomością, że Meryl tak ich zawiodła.

Niedwuznacznie okazywane współczucie Sarah dodatkowo go dobijało. Nie powiedziała tego, lecz było oczywiste, że od samego początku wszystko przewidziała. I że go żałuje. Czyli uznaje za bezmyślnego idiotę, który dał się na brać. Bo tak było w istocie. Gdy zaproponowała, że pojedzie zastąpić Meryl, nie miał serca powiedzieć, że Meryl nikt nie zastąpi. Oszukała i zdradziła. Ale nikt nie wypełni jej miejsca.

Rzeczywistość okazała się gorsza od najczarniejszych przypuszczeń. Dopiero teraz z goryczą przekonał się, jak bardzo chciał wierzyć, jak rozpaczliwie chwycił się złudzeń i mrzonek.

Lecz prędzej go piekło pochłonie, niż wyzna to komuś. Uśmiechnął się sztucznie. W duchu pragnął tylko jednego — nie żyć.

— Panie i panowie, dzień dobry! — wesoło zaczął pastor, nadrabiając miną.

Nie dokończył. Z góry dobiegł głuchy warkot silnika. Zebrani unieśli głowy, jednak ciemne chmury zasnuwały niebo tak gęsto, że nic nie było widać.

— Rozpoczynamy nasz doroczny festyn...

Chmury rozdarły się nieoczekiwanie i na tle błękitnego nieba zamajaczyła ciemna sylwetka helikoptera. Maszyna usiadła na ziemi, gwałtowny poryw

wiatru zburzył nienaganne fryzury. To, co się działo, było jak bajka, jak scena z filmu. Wszyscy patrzyli z napięciem, jak otwierały się drzwi.

— Cześć, witajcie — radośnie zawołała Meryl.

Bezladny, podekscytowany gwar wzmagał się z każdą chwilą. Meryl wysiadła, pilot machnął ręką na pożegnanie i wzbił się w powietrze. Meryl w powitalnym geście uniosła rękę, po czym weszła na scenę. W szkarłatnym garniturze i kapeluszu z czerwonymi wstążkami wyglądała olśniewająco. Uścisnęła rękę pastora.

— Założę się, że postawiliście na mnie krzyżyk!

— Wyjaśniłem, że niespodziewanie coś cię zatrzymało — powiedział Jaryis — Ale do ostatniej chwili mieliśmy nadzieję.

— Powinno być oczywiste, że nie zawiodę.

Parafianie okrążyli scenę. Meryl odwróciła się i zaczęła przemowę, którą przygotowała sobie podczas drogi. Ferdy podszedł do siostry.

— Powinnaś mieć bardziej zadowoloną minę — mruknął.

— Zamknij się!

Meryl w zabawny sposób opowiedziała o podróży i jak w ostatniej chwili natchnęło ją, by wynająć helikopter.

— Bo bardzo zależało mi, by zdążyć na otwarcie. Przez całą drogę tylko o tym myślałam. I marzyłam o filiżance angielskiej herbaty. Panie i panowie, ogłaszam festyn za otwarty!

Grad oklasków zagłuszył ostatnie słowa. Odniosła olbrzymi sukces.

Wreszcie mogła napić się herbaty, a potem ruszyła z Jarvisem do straganów, gdzie mieszkańcy prezentowali swoje wyroby. Meryl szybko oceniła sytuację.

— Jaryis, nie mam żadnych pieniędzy. Chcę od każdego coś kupić, ale nie zdążyłam wymienić dolarów.

— Jak zapłaciłaś pilotowi?

— Powiedziałam, żeby rachunek przysłał do ciebie.

— Bardzo zmyślnie.

— Muszę mieć pieniądze! Daj mi trochę!

Zapobiegliwie zabrał z domu drobne banknoty. Dziwnie się czuł, podając jej pieniądze, lecz te myśli przesłoniła radość, że znowu ją widzi.

Obeszła wszystkie stragany, wszędzie kupując jakiś drobiazg. Robiła to z wyczuciem.

— To będzie pięknie wyglądać na stoliku w bibliotece — mówiła z przekonaniem, z miejsca zjednując sobie powszechną sympatię.

— Zazwyczaj mamy stragan z ręcznie dzierganymi strojami — rzekł pastor. — Ale w tym roku nie wyszło. Wszystkie panie są bardzo zajęte. Chyba wiem, komu to zawdzięczają.

Jaryis odciągnął ją na bok.

— Nie zrobiłaś tego!

— Zrobiłam.

— Powiedziałem ci, co o tym myślę.

— A ja odpowiedziałam, żebyś się nie wtrącał... o Boże!

Zniknęła mu z oczu za namiotem. Usłyszał dziwny od głoś, a gdy podszedł bliżej, Mery! klęczała na ziemi. Miała torsje.

— Co ci jest? — Chwycił ją za ramię.

— Już dobrze — wydusiła — To przez tę podróż. Strasznie rzucało. A potem helikopter... Och! Po co jadłam to ciastko!

— Biedactwo... Odwiozę cię do domu.

— Nie ma mowy. Jeszcze będzie konkurs dziecięcych strojów.

— Ledwie się trzymasz na nogach. — Delikatnie pomógł jej wstać.

— Bo boli mnie głowa. Gdybyś przyniósł mi jakiś proszek...

Gdy po kilku minutach wrócił z aspiryną i herbatą, Meryl zdążyła zniknąć. Siniejąc się, obserwowała popisy kundelków.

— Trzeba jej oddać, że trzyma się dzielnie — powiedział Jaryis do Sarah, która wyrosła jak spod ziemi. — Nie czuje się dobrze, ale nie daje tego po sobie poznać.

— Nigdy nie odmawiałam jej hartu ducha — odparowała Sarah.

— Dziewczyna z ikrą — podsumował Ferdy. — Ma charakter pierwszych pionierów.

— Owszem — z obłudną słodyczą przystała Sarah — Tylko w naszym kraju nie ma takich potrzeb.

— Jest niepowtarzalna — z żarem podsumował Jaryis, od chodząc, by zanieść żonie aspirynę i herbatę.

— Oczywiście nie mogłaś się powstrzymać — rzucił Ferdy siostrze i, nie czekając na replikę, wmieszał się w tłum.

Decyzja, który kostium zasługuje na nagrodę, nie była prosta, lecz Meryl wspaniale wybrnęła z sytuacji, przy okazji zdobywając kolejne punkty dla siebie. Z takim zainteresowaniem wypytywała dzieci o ich przygotowania do konkursu, że żadne nie czuło się pominięte.

Jaryis daremnie próbował wyciągnąć ją do domu. Na herbatce u pastorstwa Meryl brylowała i tryskała humorem, lecz prawie nic nie tknęła. Wiedział, że trzymała się resztką sił i tylko nadrabiała miną. Nie czekał dłużej.

— Jedziemy — szepnął jej do ucha — Bez dyskusji.

Na jej twarzy odmalowała się wdzięczność.

Zdążyli przed przyływem. Hamiah od razu się nią bardzo troskliwe zajęła.

Usnęła, gdy tylko przyłożyła głowę do poduszki. Przebudziła się po dobrych kilku godzinach. W pokoju było ciemno, lecz w bladym świetle księżyca wpadającym przez okno, dostrzegła sylwetkę mężczyzny. Patrzył w morze. Wyślizgnęła się z łóżka, stanęła za nim, obejmując go i dotykając policzkiem jego pleców. Nie poruszył się, jedynie ujął jej dłonie.

— Dawno tu jesteś— wyszeptała.

— Całą noc. Miałem nadzieję, że się obudzisz. Meryl...

— Nic nie mów. Jestem tu. I wcale nie śpię.

Obrócił się i objął ją mocno. Odszukał jej usta. Wiedziała, że się uśmiecha, że cieszy się, mając ją przy sobie.

Tak bardzo chciała powiedzieć, że go kocha, lecz nie zrobiła tego. Bała się. Wszystko w swoim czasie.

Myślała, że usnął. Tak, jak tego pragnęła. Jednak po kilku minutach Jaryis wstał ostrożnie i wymknął się na korytarz. Trudno. I tak ich powitanie przeszło najśmielsze oczekiwania.

Rankiem wybrali się na konną przejażdżkę. W powietrzu czuło się nadchodzące lato, rozległe krajobrazy wprawiały w radosny nastrój. Było im dobrze razem. Zatrzymali się przy strumieniu, by napić konie.

— Nie było mnie tak krótko, a tyle się zmieniło — z nie dowierzaniem powiedziała Meryl.

— To prawda. Wyprowadziliśmy stada na pastwiska.

— No i sianokosy. Zawsze myślałam, że zaczynają się w sierpniu.

— W sierpniu są żniwa. W maju kosi się trawę. W zimie bez niej ani rusz.

— Wszystkiego się nauczę.

Popatrzył na nią uważniej ale nie skomentował.

— Szkoda, że nie zostałeś ze mną w nocy — powiedziała zniecka, impulsywnie.

— Nienawidzę tego pokoju — powiedział po chwili. — To był pokój mojej mamy.

— Opowiadałeś, jak to było... że nic ci nie powiedzieli...

— Była słabego zdrowia. Gdy przyjechałem, a ona nie wyszła na dwór na powitanie, byłem pewien, że jest u siebie, w łóżku - wbiegłem na górę, żeby rzucić się jej na szyję...

— Nie... — wyszeptała, zdjeta współczuciem i żalem. Oczami wyobraźni ujrzała tę wstrząsającą scenę.

— Pokój był pusty. Pościel zabrana, na łóżku goły materac. Tak się dowiedziałem. Od tamtej pory nigdy tam nie wchodzę, z wyjątkiem tamtego wieczoru, gdy wydało mi się, że ktoś się zakradł... — Uśmiechnął się blado, przywołując wspomnienie — Dużo bardziej mi odpowiada, gdy jest ciemno. Dotknęła jego twarzy.

— To dlatego nikomu nie ufasz. Ale w stosunku do mnie nie bądź taki. Nie chowaj się przede mną.

— Łatwo powiedzieć. Rozsądny facet jest ostrożny.

— Nie opowiadaj bzdur. Jaki w tym rozsądek? Jeśli stale się chowasz w skorupę, nie potrafisz otworzyć się przed nikim, do nikogo nie znajdziesz drogi.

Nie chcę się z tobą spierać. Nie umiem. To ty znasz się na słowach.

— Myślisz, że to tylko słowa, nic więcej?

— Przecież sama wiesz — Jego głos zabrzmiał inaczej, tak jak w nocy. I w jednej sekundzie wszystko się zmieniło: znowu było jak wtedy, gdy otaczały ich ciemności. Czułość w jego oczach. I bezbronność.

Już myślałem, że nie przyjedziesz, Meryl — powiedział cicho.

— Zawsze chciałam przyjechać.

— I już zostaniesz?

— Jeszcze raz będę musiała wyjechać, bo tak się śpieszyłam, że nie zdążyłam...

— Jasne. Chciałbym tylko, żebyś mi powiedziała, kiedy. Powinniśmy się zbierać.

Chwila minęła. Jaryis znów się wycofał.

Jednak pierwszy krok został zrobiony. Jest szansa.

Bywały chwile, gdy zastanawiała się, dlaczego tak jej na nim zależy. Po drugiej stronie Atlantyku czekało na nią barwne życie, ludzie, którzy ją akceptowali i cenili. Mogła skreślić Jaryisa i wrócić do Nowego Jorku.

Ale odkąd go poznała, nic już nie było takie jak wcześniej. Wszystko się zmieniło.

Prawdziwe życie to życie z nim i w tym miejscu.

Tego była całkiem pewna. Nie ujął jej tytułem, nie zaimponował majątkiem czy zamkiem. Więc dlaczego tak ją tu ciągnie?

Prawda jest oczywista. Bo poznała kogoś, kto może dać jej to, czego nigdy nie miała. Poczucie, że jest mu potrzebna.

Jemu i jego ludziom. Przyniosła im nadzieję. I choć rozsądek kazał się wycofać, nie robi tego.

Dni upływały spokojnie, a kruche porozumienie nadal trwało. W zamku pojawili się robotnicy, by zrobić przymiarke do założenia ogrzewania.

— Jestem lady Larne. Chcę mieć centralne ogrzewanie — z emfazą oświadczyła Meryl, widząc minę Jaryisa.

— No tak, masz rację — przyznał potulnie.

Nie zdziwił się, gdy przywieziono nowoczesne materace. Nie protestował.

Jednak nie wszystko szło gładko. Do pierwszej scysji doszło z powodu jednego z farmerów. Użalał się, że żona odmówiła pomocy w domu, bo jest zajęta dzierganiem swetrów. Jaryis wziął jego stronę, Meryl zaś ostro odrzekła, co myśli o obibokach wysługujących się żonami. I o ich krótkowzroczności.

Zaprzestali dyskusji, lecz ciągle coś wisiało w powietrzu. Czasami miała wrażenie, że Jaryis chciałby, by wyjechała, utwierdzając go w przekonaniu, że niepotrzebnie się łudzi. Bo intuicyjnie czuła, że coraz bardziej się wahał, że kiełkowała w nim nadzieja.

Pod koniec czerwca Sarah wyjechała do Stanów odwiedzić Hamlinów. Ten fakt uświadomił Meryl, że też powinna pojechać.

— Muszę podpisać masę papierów, a wolę nie wysyłać ich pocztą. Poza tym chcę być na otwarciu. Benedict dzwonił i prosił...

— Czyli musisz — przerwał jej Jaryis. — Jutro?

— Może. Chciałam ci powiedzieć...

— Kochanie, nie musisz mi nic mówić. Nawet bym nie śmiał wściubiać nosa w twoje prywatne sprawy.

— Dlaczego taki jesteś — zdenerwowała się — W jednej chwili wszystko jest super, a za sekundę traktujesz mnie jak kogoś obcego.

— Tak jak ty traktujesz Larne, gdy tylko stąd wyjedziesz, prawda?

— Znowu? Chodzi ci o festyn? Już to omówiliśmy.

— Przyjechałaś na czas, ale tylko dzięki szczęśliwemu zbiegowi przypadków. Na pozór wszystko jest w porządku.

— Jaryis, nie zapomniałam o obietnicy, tylko umknęła mi data. Każdemu to może się zdarzyć.

— To może się zdarzyć tylko temu, kto wie, że pieniądze wszystko załatwiają. Zapomniałaś o nas.

Była tak zdenerwowana, że nie zauważyła tego „nas”.

— To czemu nie zadzwoniłaś, żeby mi przypomnieć? Chyba, że chciałaś, bym wyszła na kłamczuchę?

— Coś ty — obruszył się. — Nigdy bym nie dopuścił, by ktoś ucierpiał z powodu naszych prywatnych spraw.

— No to dlaczego?

— Bo sam zapomniałem — przyznał z ociąganiem — Gdy pastor rano zadzwonił, byłem jak ogłuszony.

— No widzisz!

— To ciebie wyglądano. Gdyby nie helikopter, wyszłoby szydło z worka. Ale ciebie stać na taką ekstrawagancję.

— Znowu o tych pieniądzach? Gdybyś był bogaty, chciałbyś, bym ciągle ci to wypominała?

Twarz mu się zmieniła.

— Gdybym był bogaty, oddałbym ci wszystko z największą radością. To naturalne, że ciągle się upewniam. Jak mam się czuć twoim mężem, skoro nie mogę ci niczego ofiarować?

- Jeśli coś szczerze przyjmujesz, to tak, jakbyś coś dał. Bo przez to druga osoba czuje się szczęśliwa..., nie widzisz tego?

— Jak mam szczerze przyjmować ze świadomością, że robisz to dla Benedicta
— W jego głosie zabrzmiała nowa, ostra nuta — Nie uważasz, że przyszła pora pogadać o twoim związku z tym człowiekiem?

— Podejrzewasz, że jestem w nim zakochana? No cóż, nasłuchałeś się gadania Larry’ego. Więc teraz posłuchaj mnie, i to uważnie. Oświadczam ci, że nic mnie z nim nie łączy. Nie kocham go. Wyłożyłam dziesięć milionów, nie wiem, czy z sensem. To świadczy, że może coś ze mną nie tak. Ale absolutnie nie dowodzi, że się w nim kocham. Poza tym jest żonaty.

— W trakcie rozwodu.

— Nie chce rozwodu. Kocha Amandę i ja to popieram.

W oczach Jaryisa zamigotało zaskoczenie.

— Mówisz szczerze?

— Szczerze. A do Nowego Jorku chcę lecieć, by zobaczyć wszystko na własne oczy i zatrudnić księgową.

— A co potem?

Popatrzyła na niego przekornie.

— To zależy, jak bardzo ci będzie mnie brak.

Niemal zgniół ją w uścisku. Cudowny był ten pocałunek! Taki, o jakim marzyła. Mówiący więcej niż słowa.

— Teraz wiesz, jak będę za tobą tęsknił — wyszeptał. — A jeśli chcesz dowiedzieć się więcej, to wracaj do mnie.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

W Nowym Jorku czas mijał szybko. Wszystko było dopięte na ostatni guzik, wkrótce miał się odbyć pierwszy pokaz. Marzenia zamieniały się w rzeczywistość. Tylko Benedict ciągle był nieszczęśliwy. Meryl nie mogła już tego zniesć.

Któregoś wieczoru przyprowadziła ze sobą Amandę. Gdy Benedict ją ujrzał, zastygł. Amanda też nie mogła wydobyć głosu.

— Zostawiam was — oświadczyła Meryl — I nie odzywajcie się do mnie, póki się nie dogadacie.

Już przy drzwiach obejrzała się za siebie. Uśmiechnęła się, widząc parę w czułym objęciu. Pojechała do domu. Pustka, jaka ją powitała, była dotkliwsza niż zwykle.

Nazajutrz pogodzona para zaprosiła ją do siebie. Benedict i Amanda nie mogli oderwać od siebie oczu, więc Meryl wymknęła się czym prędzej. Poczuli się bardzo samotna.

Tak powinno wyglądać prawdziwe małżeństwo, pomyślała. Oddam sobie, zawsze razem. Pewni, że nic ich nie rozdzieli.

Co Jarys teraz robi? Czy tęskni? Ten ostatni, pożegnalny pocałunek...

Jak bardzo za nim tęskniła!

Benedict i Amanda nie widzieli poza sobą świata. Ich małżeństwo kwitło. By to uczcić zaplanowali huczne przyjęcie, które zarazem było próbą przed uroczystą premierą. Benedict przygotował Meryl szkarłatną kreację z jedwabnej, obciskającej tkaniny.

— Dekolt jest zbyt wycięty. Nie będę mogła nic założyć pod spód.

— O to chodzi. Erotyzm i wyniosła elegancja.

W tym stroju czuła się jak demon seksu. Gdy tylko wróci do domu, wystąpi w nim przed Jaryisem!

Wiedziała, że wygląda wspaniale, przyciąga spojrzenia. Promieniała. Kiedyś takie przyjęcia były jej życiem. Tłumy gości, jaśniejące światła, wystawne jedzenie, najlepsze wina. Amanda i Benedict nie posiadali się z radości.

— To wszystko dzięki tobie! Jesteśmy ci tacy wdzięczni!

— Amanda zarzuciła jej rękę na szyję — Dzięki ci, Meryl. Za wszystko.

— Ja też — Benedict pochwyił ją w ramiona, cmoknął w oba policzki i w usta

— Amanda nie będzie zazdrosna, nie martw się — Puścił oko do żony — Nie po wczorajszej nocy.

Meryl zajęła się dziennikarzami związanymi z modą. Oprowadziła ich po srebrno-kremowym salonie, przestronnych przymierzalniach, pokazała trzymaną pod kluczem kolekcję.

Wszystko szło jak po maśle, a jedynym jej zmartwieniem był ekstrawagancki dekolt. Benedict, który zaprosił ją do tańca, też to dostrzegł.

— Nie trzyma się tak, jak planowałem — Wskazał na jej piersi — Gdy tańczysz, odsłania więcej, niż zakładałem.

— Teraz mi to mówisz — obruszyła się.

— Cześć, Meryl, jak miło cię widzieć! Eyerett przywitał ją gorąco: Okazało się, że przybył tu nie tylko z żoną, ale i z goszczącą u nich Sarah Ashton. Teraz chciał odszukać panie.

— Zaraz gdzieś je wypatrzę. Powiedz, co u was słyhać nowego...

Gdy za oknami zaczęło świtać i ostatni goście rozjechali się do domów, Meryl, Benedict i Amanda wreszcie usiedli, by wymienić wrażenia. Przyjęcie wspaniale się udało i świetnie rokowało na przyszłość.

Jaryis wyjechał po Sarah na lotnisko. Po przywitaniu zaprosił ją do kawiarni na herbatę.

— Miałaś zostać dłużej. Chyba się za nami stęskniłaś.

— Po tym, co widziałam, chciałam jak najszybciej wyjechać.

— Sarah, co się stało? Wyglądasz, jakbyś płakała.

— Och, Jaryis! Nie wiem, jak ci powiedzieć... to okropne! Brak mi słów!

— Co jest okropne — Uśmiechnął się. Niczego nie podejrzewał.

— Byłam na przyjęciu wydanym przez Benedicta Steena. W tym salonie, który mu kupiła. On i Meryl...

— Są tylko przyjaciółmi. Meryl wszystko wyjaśniła. Sarah bez słowa położyła na stoliku dwa zdjęcia. Fotograf okazał się fachowcem. Na jednym tańcząca para — roześmiana Meryl i Benedict znaczącym gestem wskazujący na jej dekolt, na drugim całujący ją z żarem.

— No tak — martwym głosem odezwał się Jaryis — Myślę, że powinniśmy się zbierać.

Wstał i odszedł.

Sarah czuła się nieco rozczarowana, bo nie tknęła zdjęć ale i tak zrobiły swoje

Odkładała moment, kiedy do niego zadzwoni. Jak dziecko, z góry cieszące się na coś miłego. Jeszcze kwadrans. Nie odrywała oczu od zegarka.

Uwielbiała rozmawiać z Jaryisem przez telefon, bo w zwykłych słowach tyle się kryło.

Jeszcze pięć minut, cztery...

Nagle rozległ się dźwięk telefonu.

— Meryl — Gdy w słuchawce usłyszała głos Jaryisa, uśmiechnęła się szeroko.

— Tak, to ja.

I nagle wszystko potoczyło się jak w złym filmie. J szcze nigdy jego głos nie brzmiał tak wrogo, tak obco.

— Uwierzyłem ci. Zaufałem ci jak skończony głupiec.

— Jaryis, co się stało?

— To się nie stało od razu — ciągnął, jakby nie usłyszał jej pytania. — Zdawałem sobie sprawę, jaka jesteś, dlatego trzymałem się z daleka. To cię irytowało, prawda? Jak to możliwe, by ktoś pozostał obojętny? Zawzięłaś się, by mnie omotać, pokazać, kto tu naprawdę rządzi.

— Jaryis, nie wiem, o czym mówisz.

— Widziałem zdjęcia. Twoje i Benedicta. Jak tańczycie i całujecie się na oczach wszystkich. Ty niemal naga. Nie sądziłaś, że mogą do mnie trafić, prawda?

— Sarah — wydusiła bez tchu.

— Tak. Widziała to na własne oczy.

— I odpowiednio przedstawiła.

— Co miała sądzić, widząc moją żonę w objęciach kochanka?

— On nie jest...

— Daj spokój, proszę. Już raz to słyszałem. Dałem się przekonać — Głos mu zadrżał. — Byłem oporny, ale to tym bardziej cię pociągało. Bo im trudniej coś zdobyć, tym większa satysfakcja. Możesz być z siebie dumna, Meryl, bo w końcu całkiem ci uległem. I nawet się zako... — Nie do końca.

— Jaryis, posłuchaj mnie, proszę — powiedziała żarliwie. — Benedict znowu jest z żoną, wrócili do siebie. Przyłożyłam do tego rękę. Z tej okazji wydali przyjęcie, chcieli to uczcić.

— Uważaj, bo uwierzę! Może jeszcze powiesz, że całował się z tobą na oczach żony?

— Jej i wszystkich gości.

— Meryl, skończmy to — rzekł ze znużeniem w głosie — Wygrałaś. Poddaję cię. Możesz się cieszyć. Ale nie wracaj do Larne. Trzymajmy się od siebie z daleka. I niech tak zostanie.

— Co takiego — wybuchnęła. — Nie ma mowy! Nie zgadzam się. Jak możesz mnie skreślać, nie dać szansy?!

— Zdjęcia mówią za siebie. Nie potrzebuję twoich wyjaśnień.

— A może byś wysłuchał, jak było naprawdę? Nawet jeśli nie pasuje to do twojego obrazu. Wiedziałam, że masz klapki na oczach, ale naiwnie sądziłam, że jakoś nam się ułoży. Że gdy pojawi się uczucie, rozluźnisz się, inaczej spojrzysz na świat. Ale to ci nie odpowiada, prawda? Traktuję cię po ważnie. Pokochałam Larne. Ciebie też byłam gotowa po kochać. Ale ty tego nie chcesz. Boisz się miłości, bo to oznacza ryzyko. Dlatego wolisz pozostać w swoim świecie, do każdego podchodzić ostrożnie, z góry zakładać złą wolę. To ci pasuje, bo w ten sposób łatwiej przetrwać. — Zamilkła na chwilę. — Więc zostań w tym swoim cholernym świecie. Nie wrócę, nie musisz się bać. Nigdy cię nie oszukiwałam, nigdy nie grałam podwójnej roli. Któregoś dnia otworzą ci się oczy i zrozumiesz, jak źle mnie oceniłeś. Ale wtedy nie próbuj mnie odnaleźć, bo dla mnie to już zamknięty rozdział! Mam w życiu ciekawsze rzeczy do zrobienia niż bez sensu walić głową w mur!

Jaryis usłyszał brzdęk raptownie odłożonej słuchawki. Rozpaczliwy szloch Meryl już do niego nie dotarł.

Życie toczyło się swoim rytmem. W zamku trwały prace przy centralnym ogrzewaniu. Mógłby je wstrzymać, lecz bał się niewygodnych pytań. Na

każdym kroku widział ślady pozostawione przez Meryl. Z jej przyjazdem w ludzi wstąpiła nadzieja. Z tego powodu szkoda, że tak to się skończyło, tłumaczył sobie, próbując uzasadnić dręczące go poczucie straty. Ale po nocach aż skręcał się z tęsknoty.

Nieobecność Meryl doskwierała również przy oficjalnych okazjach. Tak jak teraz, gdy zbliżała się pora dorocznego lunchu dla zarządców i ich rodzin. Ciekawe spojrzenia, niewypowiedziane pytania...

W dużej jadalni zamkowej zebrało się kilkanaście osób. Informacja Jaryirsa, że jego żona jest w Nowym Jorku, wywołała gwałtowną reakcję wśród pań. Nie taką, jakiej się spodziewał.

— W Nowym Jorku — krzyknęła Sadie. — Tak jak obiecała! Pokaże naszą kolekcję!

Jaryis jęknął w duchu. Nie miał serca dobijać poczciwych sąsiadek. Jak powiedzieć, że Meryl ich oszukała?

Pozostawi to Sarah. Pod tym względem może na nią liczyć. I chyba się nie przeliczył, sądząc po zaskoczonych spojrzeniach siedzących przy stole gości.

Po posiłku goście przeszli do biblioteki na kawę. Lillian wdała się w gorącą dyskusję na temat jakichś politycznych wydarzeń. By uciąć sprzeczkę, Jaryis zaproponował obejrzenie dziennika i Ferdy przebiegi pilotem po kanałach. Nagle znieruchomiał.

— Czy to nie Meryl — zapytał zmienionym głosem.

Wszyscy wlepili wzrok w ekran. Meryl, wystrojona w ręcznie wydzierganą kreację, z wdziękiem paradowała po wybiegu. Któraś z kobiet zawołała z triumfem:

— To nasze rzeczy!

— Pan Steen chciał coś szalonego. Wychodziłam ze skóry, ale w końcu mu się spodobało — mówiła Sadie — Aż trzy osoby przy tym pracowały.

Ferdy pogłodził dźwięk.

— To pierwszy pokaz Benedicta Steena — mówił sprawozdawca. — Na wybiegu widzimy jego patronkę, Meryl Winters, obecnie lady Larne. Demonstruje rewolucyjne stroje z dzianiny...

— Widzicie — wymamrotała Freda — Jesteśmy rewolucyjne!

— Obiecała, że pokaże nasze rzeczy w Nowym Jorku — z zachwytem podjęła Claire. Wycelowała palcem w męża.

— A ty gadałeś, że wcale tego nie zrobi!

— Lady Larne dotrzymuje słowa — rzekł Ferdy, nie spuszczać z oka Jaryisa, który jak zahipnotyzowany wpatrywał się w ekran, na którym tanecznym krokiem przechadzała się Meryl.

Podeszła do reportera i zaczęła wskazywać szczegóły swego olśniewającego stroju.

— To o nas opowiada — bez tchu wydusiła Claire. Usłyszała mruknięcie męża i spiorunowała go wzrokiem. — Cicho siedź, głupku! Za te zlecenia mam tyle, że wystarczy na remont chlewika i spłatę pożyczki w banku. Teraz ty zakasz rękawy i weź się do roboty.

Ned zrobił ponurą minę, ale nie odezwał się więcej.

Meryl zniknęła z ekranu, a kamera prześlizgnęła się po zgromadzonych gościach. Prezenter ciągnął relację.

— Teraz kolekcja pojedzie do Paryża, Mediolanu, Rzymu i Londynu. To będzie drugi miesiąc miodowy Benedicta Steena, który po dramatycznym rozstaniu znowu jest ze swoją żoną Amandą. Meryl, chodzą słuchy, że zabawiałaś się w Kupidyna. Czy to prawda?

— Musiałam — zza ekranu rozległ się głos Meryl — Bo oni są dla siebie stworzeni. Ale tak by się stało i bez mojej pomocy, bo kochają się bez pamięci! Kamera pokazała Benedicta czule obejmującego młodą kobietę. Wpatrywał się w nią z uczuciem. Roześmiana Meryl pojawiła się obok nich.

— Gorzko, gorzko — zawołała wesoło i zaklaskała w dłonie, gdy Benedict gorąco ucałował żonę.

Jaryis nie pamiętał, jak przeszła reszta popołudnia. Odpowiadał, bawił gości, uśmiechał się. I przez cały czas miał w uszach głos Meryl.

„Nie oszukiwałam cię. Kiedyś otworzą ci się oczy. Zrozumiesz, jak źle mnie oceniłeś. Ale wtedy nie próbuj mnie odnaleźć”.

Głos Ferdy’ego przywołał go do rzeczywistości.

— Sarah nagle postanowiła wracać do domu — rzekł bez emocji — Prosiła, by pożegnać cię w jej imieniu.

Wszystko zaczynało układać się w całość.

Gdy wreszcie goście wyszli, Jaryis poszedł do siebie. Z korytarzyka łączącego sypialnię z pokojem Meryl dobiegł dziwny hałas. Okazało się, że to robotnik wymierzający miejsce na kaloryfer.

— Trochę tu ciasno — rzekł stropiony.

— Można wkuć się w ścianę. W tym miejscu jest bardzo gruba.

Nazajutrz robotnik przystąpił do pracy. Wiertło wydało dziwny dźwięk. Spróbował w innym miejscu, by oddzielić większy fragment muru. Gdy w końcu wyciągnął kamień, zaświecił latarką do środka i zmarł. Przez długą chwilę ze zdumieniem wpatrywał się w ciemną czeluść, po czym pobiegł do majstra.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Wiele razy śniła, że otwiera drzwi i widzi przed sobą Jaryisa. Gdy wreszcie ktoś zastukał na jawie, pobiegła jak na skrzydłach, gotowa do pojednania. Lecz na progu stał obładowany paczkami posłaniec. Jaryis odesłał jej rzeczy.

Sprawa z Jaryisem została definitywnie zakończona. Było jej przykro, ale otrząsnęła się. Trudno, czasami trzeba przegrać. I nie warto bez sensu trwać przy złudzeniach. Wzięła się w garść. Dni mijały jak z bicza strzelił. W za sadzie zrealizowała plan. Dysponowała swoim majątkiem i mogła robić, na co tylko miała ochotę.

Dzięki niej los wielu ludzi się polepszył. Z wyjątkiem Jaryisa. Był zbyt oporny, zbyt zamknięty w sobie. Może nim się zestarzeje, ożeni się z Sarah. Na samą myśl ledwie się powstrzymała, by nie wskoczyć do pierwszego samolotu. Nie zrobiła tego. Jaryis podjął decyzję. Dla niej zabrakło miejsca w jego życiu.

To doświadczenie ostudziło jej entuzjizm i nauczyło rozwagi.

Kolekcja Benedicta odniosła spektakularny sukces. Wkrótce pokażą ją w Paryżu. Cieszyła ją ta perspektywa. Już dawno tam nie była, chętnie odświeży wspomnienia.

Był wczesny ranek, gdy ktoś zadzwonił do drzwi. Raz, drugi, trzeci. Otuliła się szlafrokiem, podeszła do domofonu.

— Kto tam?

— Jaryis.

Zamarła. Przez głowę przebiegły jej szalone myśli.

— Meryl, proszę — usłyszała jego cichy głos — Wpuść mnie. — Otworzyła bez wahania.

Boże, jaki mizerny! I jaki inny.

Na bladej twarzy widać było zmęczenie. Jednak nie to ją poraziło. Ten wyraz oczu, niepewny, pełen wahania. Starła się trzymać, lecz sercem wyrywała się do niego.

Czekała, że coś powie, lecz Jaryis milczał. No cóż, dla niego nic nie było proste.

— Miałeś męczącą podróż — zagadnęła, by dać mu czas — Zaparzę kawę.

Nastawiła ekspres, szybko przebrała się w spodnie i sweter. Postawiła filiżanki na stoliku i popatrzyła na Jarvisa. Miał wzrok wbity w przesłane jej bagaże.

Odstawiła je w kąt i nawet nie rozpakowała

Podniósł na nią oczy. Bezbronne jak nigdy dotąd. Było w nich tyle żalu i smutku, że jej serce wezbrało czułością.

— Przyjechałem, żeby cię przeprosić.

Chciała rzucić mu się w ramiona, lecz powstrzymała się. Nauczyła się być ostrożna.

— Dlaczego — wydusiła cicho.

— Bo poznałem prawdę. Widziałem pokaz w telewizji. Benedict mówił, że to dzięki tobie zszedł się z żoną.

— Aha — Kiełkująca nadzieja zgasła w jednej chwili.

— Powinienem ci ufać. Mogłem ci zaufać.

— Ale tak nie było — rzekła, uśmiechając się smutno.

— Teraz tak mówisz. Sytuacja się zmieniła, więc łatwo po wiedzieć „przepraszam”. Nie chciałam ująć tego tak obce sowo, ale...

— Wiem. Łatwo mówić, gdy się zna fakty. A powinno się wierzyć ślepo, bez zastrzeżeń. Nie sprawdziłem się, prawda?

— Jaryis, to już nie ma znaczenia. Cieszę się, że znasz prawdę. Miło z twojej strony, że pofatygowałeś się tu, by mi to powiedzieć osobiście.

— Jest jeszcze inny powód. Jutro o tym będzie w gazetach, ale chciałem sam ci powiedzieć. Bo tylko ty zrozumiesz, jakie to ważne.

— Co się stało?

— Robotnicy rozkuli ścianę w tym wąskim przejściu między naszymi pokojami. Pamiętasz, sama powiedziałaś, że jest dziwnie ciasne. Miałaś rację. Za tą ścianą jest malutki pokój. Nie uwierzysz, co w nim znaleźliśmy.

- Co?

— Marguerite.

— Ale przecież ona uciekła!

— Tak mówiono, bo przepadła jak kamień w wodę. Z za rządcą i pokojówką. Też tam byli. Przez sześćset lat. Po został tylko proch i stroje... Marguerite miała na sobie perły, te z obrazu.

— Co mogło się stać?

— Najpewniej jej mąż nie był takim aniołem, za jakiego uchodził. Chciał jej pieniędzy. Zamordował ją. Żeby uprawdopodobnić ucieczkę, zamordował też rządcę i pokojówkę. Zamurował ich i rozpuścił historię o niewiernej żonie. Zamurował też perły, za które jego niewierna żona miała żyć... Pewnie zamierzał je wydostać, gdy sprawa przycichnie, lecz zmarł za szybko.

— Biedna Marguerite — wyszeptała Meryi.

— Harry uważa, że historia z rządcą została wyssana z palca, Marguerite była kochającą, oddaną żoną. To jej mąż me chciał niczego jej dać, chciał tylko brać. Boję się, że to odwieczna cecha Larne'ów.

Meryl uśmiechnęła się blado.

— Nie wiedziałam, że jesteś taki sentymentalny.

— No cóż, prawda jest gorzka. Odrzucałem twoją szczodrość, bo widziałem w tobie intruza. Mówiłem sobie, że czynię tak, by chronić nasze dziedzictwo. Ale to był tylko mój egoizm. Nie chciałem się z tobą dzielić, pragnąłem wszystko mieć tylko dla siebie. Ty otworzyłaś się przed ludźmi i zjednałaś ich sobie. Nie myślałaś o sobie, lecz o nich. Dystansowałem się od ciebie, bo... byłem zazdrosny. To, co zawsze było tylko moje, ty zagarnęłaś dla siebie nie za pomocą pieniędzy, ale zyskując sympatię i podziw.

— Nie ma powodu, byś był zazdrosny. Nie chciałam ci nic zabrać. Po prostu od pierwszej chwili zakochałam się w Larnie.

— Tylko w Lanie?

— Nie — rzekła z westchnieniem. — Zakochałam się także w tobie. Ale to już dawne dzieje. Nie udało mi się do ciebie dotrzeć. Owszem, mieliśmy piękne chwile, ale ty zawsze mnie zwalczałeś.

— Chcę to naprawić — powiedział cicho, kładąc rękę na jej dłoni. Ale to nie były słowa, na jakie czekała.

— To się nie mieści w konwencji. Zawarliśmy czysto biznesowy układ i to się chyba nie zmieniło?

Jaryis skrzywił się lekko.

- Chciałem jakoś wyjaśnić, naprawić nasze stosunki.

— Jak można naprawić coś, co od początku było bez sensu?

- Ale teraz może być inaczej. Powiedziałem ci kiedyś, że skoro nie mogę ci niczego dać, nie potrafię poczuć się twoim mężem. Teraz mam perły. Ich wartość jest niewyobrazalna. Gdybym miał je wcześniej...

— To bym ci do niczego nie była potrzebna.

— Nie to chciałem powiedzieć.

— Gdybyś miał je wcześniej, nigdy byśmy się nie poznali.

— Na pewno bym cię spotkał. To było nam pisane. Gdybym je wtedy miał, mógłbym śmiało spojrzeć ci w oczy.

Popatrzyła na niego przenikliwie, szukając jakiegoś znaku, czegoś, czego najbardziej pragnęła.

— Och, Jarys — Meryl westchnęła ze smutkiem. — Gdy byś mnie kochał, te perły nie miałyby żadnego znaczenia. Nic by się nie liczyło. Teraz jesteś bogaty. Myślisz, że to coś zmienia? Znam wielu bogatych mężczyzn i nie dałabym za nich złamanego grosza. Ale ty byłeś inny. Prawdziwy mężczyzna. Nie taki wymuskany goguś. Chciałam podzielić się z tobą tym, co mam, nie po to, by zyskać władzę, lecz by było ci lepiej. Gdybyś mnie kochał, przyjąłbyś to gorącym sercem. Twoja durna by na tym nie ucierpiała. Niczego więcej nie chciałam. Ale ponieważ nie miałeś pieniędzy, czułeś się bez wartości. I w taki sam sposób potraktowałeś mnie. Teraz jesteś bogaty i sądzisz, że wszystko się zmieniło i już jest dobrze?

Poderwał się z miejsca.

- Nie mogę nadażyć, jak tak przemawiasz. Sądziłem tylko, że wreszcie nie ma dzielących nas barier.

— No tak. Przeszkodą był Benedict, przeszkodą były moje pieniądze. Teraz to przestało mieć znaczenie. Taki jest twój punkt widzenia.

— Czy to nie wystarczy?

— Nie. Chciałam, żebyś naprawdę mnie kochał, i dzięki temu uczuciu pokonywał wszelkie przeszkody, a nie czekał, aż same się rozpadną.

— Jak mam ci powiedzieć o mojej miłości do ciebie — wybąkał — Myślałem, że ty to wiesz.

— O niektórych rzeczach należy mówić i to we właściwym czasie. A dla nas nigdy nie będzie właściwej pory.

Ujął ją za rękę.

— Wszystko da się zrobić — powiedział żarliwie — Jeśli tylko pojedziesz ze mną do domu.

— Już nie mogę. Za późno. Tak strasznie chciałam, by to był mój dom, jednak ty nigdy mnie tam nie wpuściłeś.

— To moja wina... Ale tyle rzeczy się zmieniło...

— Nie ty. „Niech drżą najeźdźcy”. Tak się czułam — Do tknęła jego twarzy. — Zawsze będę o tym pamiętać. Zawsze będę intruzem.

— Przyjechałem prosić o jeszcze jedną szansę — wydusił. Jak mam cię prosić o miłość? Wiem, że nie zasłużyłem na nią.

— Na miłość nie trzeba zasłużyć. Miłość się zdarza, spada na człowieka. Trzeba tylko umieć ją przyjąć.

— Pojedź ze mną do domu i naucz mnie — rzekł błagalnie drżącym głosem.

Potrząsnęła głową.

— Kiedyś myślałam, że wszystko jest dla mnie możliwe, wystarczy moje nazwisko... Ale ty uświadomiłeś mi, że mam tylko pieniądze. Zróbmy, jak chciałeś. Uznajmy sprawę za zakończoną. Od początku staliśmy na straconej pozycji.

Nie znalazł słów, które odmieniłyby bieg rzeczy. W milczeniu patrzył, jak Meryl zsuwa z palca pierścioneł i oddaje mu. Pozostało mu tylko odejść.

Cały kolejny tydzień trwały gorączkowe przygotowania do pokazu w Paryżu. Meryl zwijała się jak w ukropie. Była z tego zadowolona, bo nie miała czasu na dumanie o sobie.

Nie oponowała, gdy Benedict i Amanda uparli się, by jechać na lotnisko godzinę przed czasem, i dopiero po dobrej chwili zorientowała się, że nie czekają na odprawę do Paryża.

— Lecisz do Manchesteru — Amanda uśmiechnęła się z satysfakcją — O dziewiątej. Oto twój bilet.

— Zaraz... no nie, co wy wyprawiacie... Wiem, że chcieliście jak najlepiej, ale...

— Meryl, nic nie mów — rzekł Benedict — Wreszcie możemy się jakoś odwdzińczyć. Pomogłaś nam, teraz my tobie.

— Ale Jaryis i ja nie...

— Nie opowiadaj bzdur — przerwała jej Amanda — Wciąż powtarzasz, że między wami wszystko skończone, że nie możecie być razem, bo on boi się miłości. Więc oswój go, nawet gdyby to miało potrwać lata. Uznaj to za najważniejszy cel i działaj. To prawda, że w kwestii uczuć Jarvis nie jest zbyt bystry, ale ty też dziwnie zgłupiałaś.

— I to bardzo — wspomógł ją mąż. Chłopina przyleciał do Stanów, chciał wszystko naprawić, prosił o pomoc, a ty wycofałaś się rakiem. Myślałem, że masz w sobie więcej siły.

Meryl stała jak przymurowana. Zabrakło jej słów.

— Zawsze miałaś wszystko na kiwnięcie palca — bezlitośnie ciągnął Benedict

— Ale skończyło się, bo teraz musisz sama się postarać. Jaryis ma niełatwy charakter, a jednak odłożył na bok swoją dumę i przyszedł do ciebie. Teraz twoja kolej.

— Zobaczysz, uda ci się, jeśli tylko nie stchórzysz.

Doszli do stanowiska odprawy. Amanda wyjęła paszport i bilet z drżących palców Metyl, podała urzędnicze.

— Poczekamy, żebyś nie zwała w ostatniej chwili.

— Nie bójcie się — odparła Metyl. Oczy jej błyszczały.

— Dziękuję...

Tym razem czuła się jak u siebie i nawet ponura pogoda wprawiała ją w zachwyty. Przez okno taksówki wpatrywała się w deszczowy krajobraz.

— Jak dostanie się pani do zamku — zapytał taksówkarz. Nie przejadę groblą podczas przyływu.

— Ktoś odbierze mnie łódką — odparła wesoło.

— Może być problem. Wszyscy szukają zaginionego.

— Kogo — zapytała zmienionym głosem.

— Jakiegoś lorda. Wyłynął żaglówką i nie wrócił.

— O Boże — wyszeptała. — Jaryis.

Natychmiast zadzwoniła cło Ferdy’ego i jej przeczucia się potwierdziły. Ferdy podpłynął po nią wynajętą motorówką.

— Ostatnio Jaryis stronił od ludzi. Jeździł konno albo wypływał w morze. Dziś też wyruszył skoro świt i nie zdążył uciec przed burzą. Straż przybrzeżna do tej pory go nie znalazła. — Widząc jej przerażenie, dodał: — Znajdowano już rozbitków, którzy przeżyli w wodzie dużo dłużej.

Od rana minęło już tyle godzin, i woda jest bardzo zimna.

Zapadał zmrok.

Podobno po trzecim razie nie ma szans, by wypłynąć na powierzchnię, lecz on już stracił rachubę. Fale wpychały go w czarną głębinę, a on rozpaczliwie parł do góry, choć wiedział, że to daremna walka. Wokół wzburzona woda, znikąd pomocy.

Sam jest sobie winien. Pochłonięty myślami, nie zauważył nadciągającej burzy. Myślał o Meryl. Odeszła, porzuciła go. Spełniły się jego najgorsze przeczucia. Gwałtowny poryw wiatru uderzył w żagle i przewrócił łódkę. Udało mu się wypłynąć i uchwycić burty. Potem mógł tylko czekać.

Lecz mijały godziny, deszcz nie ustawał. Powoli rozwiały się resztki nadziei.

Było mu coraz zimniej, zaczęła ogarniać go senność. Bezwiednie rozluźnił uścisk. Próbował dopłynąć do oddalającej się łódki, lecz wiatr odepchnął ją zbyt szybko. Teraz był zdany tylko na siebie. Ciemności gęstniały.

Wiedział, że jeśli szybko nie nadejdzie pomoc, nie przeżyje nocy. Z każdą chwilą słabi. Spienione fale przelewały się nad nim, zalewały oczy, huczały w uszach. Chyba ma już halucynacje, bo przez szum wody słyszał jakieś głosy. Jakby ktoś rozpaczliwie go nawoływał.

Głosy jednak nie ustawały. Czyżby nie były złudzeniem? To dodało mu energii. Resztką sił ruszył w tamtym kierunku, z wysiłkiem rozgarniając wodę. A jednak majaczył, bo w oddali, wśród fal, dostrzegł kobiecą sylwetkę na motorówce.

Usłyszał krzyk:

— Jaryis! Jaryis! Najdroższy!

To nie była halucynacja! Zdołał coś zawołać, kobieta usłyszała go. Zza chmury wyłonił się księżyc i srebrzysta poświata spłynęła na rozkołysaną taflę morza.

Ujrzał rozwiane włosy, ramiona rozłożone w geście rozpacz. Wiedział, że musi dotrzeć do Meryl i wtedy będzie bezpieczny.

Złapała jego rękę, lecz fala szarpnęła nim w tył. Znów znalazł się pod wodą. Usłyszał rozpaczliwy krzyk żony. Nadludzkim wysiłkiem wynurzył się na powierzchnię, Meryl ponownie złapała go za rękę i wciągnęła na pokład.

Dopiero gdy znalazł się na łódce, uświadomił sobie, że uratował go ktoś jeszcze. Lecz widział tylko Meryl. Póki nie zniknie mu z oczu, będzie bezpieczny. Jeśli znowu odejdzie, zostawi go...

— Kochany — wydusiła, tuląc go z całych sił.

— Myślałem, że na zawsze cię straciłem — wyszeptał.

— Już nigdy od ciebie nie odejdę.

— Jak tylko dobijemy, wezwę karetkę — zawołał Ferdy przez szum wiatru i fal.

— Nie — Jaryis spojrział na Meryl — Jedźmy do domu.

Na brzegu już na nich czekano, a droga do zamku poszła gładko. Gdy Jaryis został zapakowany do łóżka, Metyl po szła z Ferdym do biblioteki i zaczęła wylewnie dziękować mu za pomoc.

— Daj spokój, leć do niego. Ja mam whisky.

Cmoknęła go w policzek i pobiegła na górę. Jaryis, blady jak ściana, leżał z oczami utkwionymi w drzwiach. Na jej widok natychmiast wyciągnął rękę. Wpadła w jego ramiona.

— Nie boję się śmierci — odezwał się miękko. — Ale umrzeć ze świadomością, że nie powiedziałem ci, ile dla mnie znaczysz... to coś strasznego.

— Mój najdroższy... Wybacz mi.

— Nie mam ci czego wybacząć.

— Zarzucałam ci dumę, a sama byłam sto razy gorsza. Kochałam cię, ale kazałam ci odejść, bo ta miłość była dla mnie za trudna. To przeze mnie znalazłeś się na tej łódce. Gdybyś zginął...

— Nie. — Położył palec na jej ustach. — Tak musiało się stać. Poznaliśmy się nocą, podczas nawałnicy, lecz nie wy szło nam. A teraz znów w burzliwą noc do mnie przyszłaś. To nasz nowy początek — Wskazał na portret Marguerite.

— Przypominała mi ciebie, dlatego go tu powiesiłem. Myślałem, że straciłem cię na zawsze.

— Zawsze będę przy tobie. Tu jest mój dom. W twoim sercu.

Sięgnął do szuflady i wyjął pierścionek, który już raz jej ofiarował, i wsunął na jej palec.

— Nigdy go nie zdejmuj — szepnął.

— Nigdy.

— Coś ci pokażę.

Wyjął z szuflady płaskie pudełeczko. Nigdy nie widziała tak olśniewających pereł. Ogromne, doskonale dobrane, jaśniejące różowawym światłem.

— Przepiękne! — Nagle coś ją tknęło — Ile one są warte?

— Z nadwyżką pokryją długi. Ale to nie jest ważne. Po wiedziałas, że bogaci mężczyźni nic dla ciebie nie znaczą, że byłaś szczęśliwa, mogąc się ze mną podzielić. Wtedy tego nie rozumiałem., zresztą, czy choć raz cię rozumiałem? I czy kiedykolwiek tak będzie? Ale powiedz słowo, a rzucę je w ogień.

— Zrobiłbyś to dla mnie — zdumiała się.

— Zrobiłbym dla ciebie wszystko — odparł z mocą.

— Nie — Dotknęła jego dłoni — Jest lepsze rozwiązanie.

— Też tak uważam.

Delikatnie założył perły na jej szyję.

— Teraz należą do ciebie, a ja znowu jestem biedakiem — rzekł z zadowoloną miną. Ujął jej twarz w dłonie. — Lecz nigdy nie będę biedny. Dotąd nie wiedziałem, nie myślałem nawet...

— Ja też. Ale teraz mamy wszystko. Nic innego nie ma znaczenia.

— Przytul urnie. Chcę być przy tobie.

Położyła się obok niego i przytuliła mocno.

— Teraz lepiej?

— Póki jesteś przy mnie, zawsze będzie cudownie. Ura towałeś mnie w ostatniej chwili.

— To prawda. Jeszcze kilka minut...

— Nie mówię o morzu. Myślę, co by się ze mną stało, gdybyś tu nie przyjechała zwiedziona listem Ferdy”ego...

— A co by się stało ze mną? Gdy przyjechałam tu po raz pierwszy, byłam zupełnie inna. Arogancka, zarozumiała i prawie tak rozpuszczona i pusta, jak sądziłeś. Ty też mnie uratowałeś. Daleką drogę przeszliśmy. Najpierw uważałam cię za gbura, a potem dostrzegłam, jak bardzo jesteś skomplikowany i niezwykle... Uczyłam się od ciebie patrzeć na świat, choć nadal są to moje oczy.

— Wiem. A ja najpierw miałem cię za wroga, za bez czelną Jankeskę, aż wreszcie zrozumiałem, że jesteś najcudowniejszym, najhojniejszym darem losu. Wciąż patrzę na świat moimi oczami, ale dzięki tobie dostrzegłem, czym jest bezgraniczna ufność, czym jest miłość...

Dziewczyna o zielonych oczach

i włosach jak skrzydło kruka

przyszła nocą przez fale,

wyłoniła się z wiatru i burz.

Córka bogatego człowieka z nakazu Losu

zjawiała się w zamku,

by poślubić lorda i ocalić ród.